

Srebro nie złoto



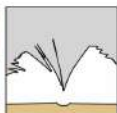
edycja 7

SREBRO NIE ZŁOTO

Utwory nagrodzone oraz wyróżnione
w siódmej edycji konkursu z 2021 r.

Białystok 2022
Stowarzyszenie Szukamy Polski
Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku

VIII edycja SREBRO nie ZŁOTO konkursu literackiego 2022



*srebro
nie złoto*



Organizatorzy

Współorganizatorzy



patronat medialny

podlaskisenior.pl

Konkurs i wydanie tomiku są współfinansowane z budżetu Województwa Podlaskiego



© Copyright by Stowarzyszenie Szukamy Polski, 2022

© Copyright by Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, 2022

Redakcja

JOLANTA FALKOWSKA

BOŻENA BEDNAREK

Korekta

JOLANTA FALKOWSKA

BOŻENA BEDNAREK

Projekt typograficzny, projekt okładki, skład i łamanie

GRZEGORZ KOWALSKI

ISBN 978-83-66137-60-8

Tomik „Srebro nie złoto” edycja VII współfinansowany z budżetu Województwa Podlaskiego 2022 r.



Wydawcy

Książnica Podlaska im. Łukasza Gór-
nickiego w Białymstoku
ul. Marii Skłodowskiej-Curie 14 A
15-097 Białystok
www.ksiaznicapodlaska.pl
ksiaznica@ksiaznicapodlaska.pl

Stowarzyszenie Szukamy Polski
ul. św. Rocha 10 lok. 306
15-879 Białystok
podlaskisenior.pl
szukamypolski@gmail.com

KSIĄŻNICA
PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku

SZUKAMY POLSKIO

STOWARZYSZENIE SZUKAMY POLSKI

UTWORY NAGRODZONE
W DZIEDZINIE POEZJI

I miejsce

Elżbieta Kasperek

(Białystok)

Nagroda za liryczną wypowiedź na tematy pozornie sprzeczne przybliżane w kolejnych, poetyckich sekwencjach. Za przekonujący obraz natury i człowieka w nią wkomponowanego – ludzką mrówkę – drobinę oraz dojście do uniwersalnych, jednoczących wniosków.

Las

patrzy na nas
z góry
Nie ocenia, nie szydzi,
nie straszy; otula.
Las milczy,
otwiera zielone oczy
i widzi mrówkę, co przeszła
na drugą stronę ścieżki.
I widzi, że właśnie w nocy
rozkwitła poziomka.
Kora drzew popękana
koi ból.
Igliwie pachnie słońcem,
splątane ścieżki giną
w zieleni,

malachit mchów
okrywa zwiędłe liście.
Nie da się opisać lasu,
co w mroku
snuje jak pająk
zawiłe wątki snów.
A my co mamy robić innego
niż stanąć i patrzeć
i milczeć i słuchać,
bo on przed nami,
za nami,
a teraz także
w nas.

II miejsce

Marek Górynowicz
(Kleosin)

Nagroda za poruszające, współczesne, poetyckie kreślenie krajobrazów pamięci zamieszczanych w rodzimych, tutejszych albumach oraz zręczne i subtelne używanie wyszukanych metafor i żonglowanie przenośnią.

w ciszy wspomnień

w albumie o Podlasiu
jest kilka malowanych cerkwi
synagoga w Tykocinie
stary kościółek nad Narwią
i spóźniony pociąg do Czeremchy

obudziliśmy się na kolejnej stronie
wtuleni jeszcze w koci sen
mruczmy do siebie
nocą poczęte wiersze
zawijam w pieluchy

na skraju łóżka

kolejny akapit

i kartki czasem podzielone
teraz rozwieszasz akwarele

pędzle odjadą ostatnią furmanką

na fotografii w kolorze sepia
radosna wieś tykający zegar
wspomnienia w starych łachmanach
pukają do drzwi

III miejsce

Jolanta Maria Dzienis

(Białystok)

Nagroda za nieprzeciętne zdolności i umiejętności „czarowania w ogrodzie”, posługiwania się poetyckim słowem i obrazem, ekwilibrystykę metaforą, subtelność, wdzięk i niespodziankę dla czytelników.

znaczenie słów

moje wiersze zaczarowała cisza
przycupnęły w rabatowej zieleni
nieme motyle w hałasie kwiatnych barw

wczoraj przedrzeźniały chichoczące echo
słowa pieśni wiatrowi podrzucały
dziś od nowa uczą się znaczenia słów

TRZY RÓWNORZĘDNE WYRÓŻNIENIA

Wyróżnienie

Tadeusz Charmuszko

(Suwałki)

Dzięki poetyckiej przenośni, wyobraźni podmiot liryczny - zręczny „Pasikonik” podróżuje traktami, drogą na już mityczną, rajską i coraz piękniejszą łąkę dzieciństwa. Ocalałe, hołubione w pamięci autora wspomnienia przybierają wielce kształtny językowo obraz.

Ślady

Droga ze zmienną kolekcją głęboko rytych kolein, które pojawiały się po byle deszczu, przebycie jej wiosną albo jesienią stanowiło nie lada wyzwanie, w rozmięklej, lepiałej się glinie można było bezpowrotnie stracić buty.

Wiejska droga początkowo zyskała żuźlową nawierzchnię, chętnie pyliła rakotwórczymi związkami, wreszcie doczekała, skromnego wprawdzie, asfaltowego dywanika, atrakcje doznawane wcześniej poszły w zapomnienie.

Poziom wód gruntowych się obniżył, zanikły stawy i bagna, drewniany dom kryty słomą, zniknął z powierzchni ziemi, wspomnienia tułają się po ścieżkach wydeptanych we mnie,

perz z babką zwyczajną nie mogą ich zarosnąć.

Jeszcze szorstkość trawy łaskocze wyobraźni
łydki, napotkany motyl ożywia chwile, kiedy
zapamiętałe gonilem od rana po pełnej jaskrów
łące z sitem do przesiewania zboża za licznymi
bielinkami, cytrynkami, rusalkami, modraszkami.

Świat wydawał się bajecznie kolorowy, pełen
skowronków, wróbli, kwiatów, motyli i niczego
więcej, przeniosłem się do innego świata, gdzie
trawę jak czuprynę strzygą, tutaj nitki babiego
lata przyniosły mi pajęczynę siwych włosów.

Tutaj pszczoły nie oblegają rojem kwitnących lip,
nie budzi z rana pianie koguta, by zachwycać się
naturą, czasem ptaszek zaśpiewa, na balkon motyl
lub trzmiel zawita, jakby sprawdzali, co porabiam
w mieście, w betonowym pudle robi się weselej.

Wyróżnienie

Regina Świtoń

(Knyszyn)

Poetka wzruszająco kreśli następne rysy, odsłony „Babci Stefanii”, dobrego ducha czuwającego nad wnuczką, opoki na której naukach, wzorach, radach nadal można się oprzeć i ufać. Wywołana szczęśliwa, dobra pamięć utrwała się, niesie po „Wrzosowej Dolinie”, stanowi stały, wdzięczny zaczyn dla twórczości autorki.

Babcia Stefania

Woń mięty przypomina mi kuchnię babciną.
Pachniała ziołami.
Zebrane z bożej apteki pól, miedz, przydroży,
pod okapem w pęczki powiązane,
syciły stary dom aromatem zdrowia.
Wciąż widzę pełne dobroci błękitne spojrzenie,
włosy płowe, upięte jedwabną chustą.
Tamte lata, w sonacie chwil szczęśliwych,
smakuję jak jej pączki na parze,
racuchy i rumiane chrusty.
Wprowadziła mnie do zielonej świątyni,
nauczyła słuchać bezsłownej modlitwy borów.
Pamiętam radość z pierwszej bursztynowej kurki,
wysmukłego kozłarza, króla borowika.

Freski słońca – drogowskazy precedzone przez drzewa

–

znaczyły powroty.

Wstęgą królewskiego niegdyś gościńca,

z koszami leśnych zdobyczy,

wracałyśmy do naszego ustronia, w eskorcie wieczoru.

Wspomnienia – krajobrazy dzieciństwa –

pięknieją niczym psalmy zachodu na ołtarzach ciszy.

Przemijamy po to, aby trwać wiecznie.

Pamięć epitafium nam wypisze.

Wyróżnienie

Kamil Dąbrowski

(Białystok)

Wyróżnienie za wyjątkowo trafne uosobienie: w kontekście szalonego pędu życia, jakiemu poddaje się człowiek, tylko one doceniają sens życia. Wiernie trwają przy Najważniejszym, szukają spokoju i ciszy świata w kościele, dostrzegają to, co najprostsze i najważniejsze. Ale umieją to umiejętnie zbalansować z realnym, wypełnionym pracą życiem. Ta figura stylistyczna pozwoliła nie tylko autorowi zadać ważne pytania: czy nie zapominamy, że człowiek składa się nie tylko z ciała, także z ducha.

Myszy

Myszy są tutaj pobożniejsze
codziennie o poranku
klękają przed tabernakulum.
W adwent skubią wieniec
aby nie kłuł Dzieciątka
na dzień narodzin.
W Popielec są szare jak popiół
więc nie widać, że weszły w pokutę
ich lewa łapka, nie wie, co czyni prawa.
W Wielkanoc żegnają się z kościołem
by udać się na pola.

One dokładnie wiedzą, co to znaczy:
ora et labora.

Regularnie przychodzą na majowe
skubną co nieco i znowu do pracy,
bo zima wbrew pozorom niedaleko.
Na Boże Ciało nie budują ołtarzy
ale dziękują Bogu przy każdym
za chleb powszedni, co spada ze stołu.

Październik to różaniec
koraliki, które pospadały z nieba
aby odszukać pogubionych.

Wiadomo lepiej być w kościele
niż marznąć na dworze.

Mysz wie, że Matka zawsze doda otuchy
nawet jak zrobili cię na szaro.

„To wszystko widziałem w Majewie
małym jak myszka
ale tutaj bardziej widać Największego.”

UTWORY NAGRODZONE
W DZIEDZINIE PROZY

I miejsce

Krzysztof Broda

(Białystok)

Nagroda za przejmujące wspomnienie życia wypełnionego misją dzielenia miłości. Jesteśmy na ziemi tylko przez chwilę i największym sensem tego istnienia jest umiejętność mądrego kochania. Bohaterka opowiadania wraz z najbliższymi stworzyła Rodzinny Dom Dziecka, a autor z wielką wrażliwością i delikatnością ją opisuje. Wyczuwa się w tym tekście osobiste emocje, ale i przesłanie, że miłość najpiękniej się mnoży, kiedy się ją dzieli. I głęboką wdzięczność!

Mówcie do mnie Mamo

Staruszka o włosach białych jak mleko siedzi przy kuchennym stole. Od czasu do czasu przygląda się swoim spracowanym dłoniom, wychudłym palcom pokrytym pomiętą skórą. Złota obrączka i skromny pierścionek z niebieskim oczkiem dziwnie nie pasują do tego obrazu. Na dłoniach zapisane jest całe jej życie, życie matki dziesięciorga dzieci. Dłonie te mogłyby opowiedzieć niejedno... Dziś lekko zgarbiona postać wygląda, jakby dźwigała ciężar minionych lat. Na jej pięknej, dziś pokrytej pajęczyną zmarszczek twarzy nagle pojawił się lekki uśmiech, a oczy rozbliły czarem wspomnień, które tak często są z nią.

*

– Mamy propozycję zorganizowania pierwszego w mieście Rodzinnego Domu Dziecka – rzekł podniecony jej mąż, gdy niespodziewanie wcześniej wrócił z pracy. – Dostaniemy wielkie służbowe mieszkanie w bloku na nowym osiedlu – dorzucił przejęty. – Co ty na to? – spytał, choć miała wrażenie, że już podjął decyzję. – Dostaniemy transport, pieniądze na meble i wyposażenie, ale wszystko musimy sami zdobyć i zorganizować!

– Ale jak to? Co ze mną, moją pracą w szkole? Co z naszymi dziewczynkami? – spytała cichym głosem, w którym dało się wyczuć napływające do oczu łzy.

Przytulił ją mocno do siebie, poczuł, jak jej ciało drży.

– Nie martw się, damy radę. Dziewczynki pójdą do dobrych szkół, a i start będą miały tam lepszy. Jednak co miasto, to nie wiem. Ja dostanę pracę w placówce opiekuńczo – wychowawczej.

Czuł, jak po każdym jego zdaniu żona powoli się uspokaja.

– Ty będziesz na etacie kierowniczką Domu, zatrudnimy jeszcze kogoś jako pomoc do dzieci – dodał pewny, że już ją przekonał.

– Skąd weźmiemy dzieci? I co na to nasze dziewczynki? – spytała niepewnie.

– Wszystko załatwione, zgadzają się. Możemy zaczynać już w te wakacje. Najpierw urządzimy mieszkanie, a później pojawią się dzieci – zakończył tajemniczo.

Gdyby wtedy wiedziała, ile problemów i trudności przyjdzie jej przez te wszystkie lata pokonać, jak wiele będzie musiała z siebie dać, ile poświęcić, z ilu marzeń i ambicji zrezygnować, to chyba powiedziałyby: nie!

Dziś, po latach, patrzy na to zupełnie inaczej.

*

Pierwszy Wigilijny Wieczór. Długi stół przykryty białym jak śnieg obrusem. W powstałej z połączenia dwóch pokoi jadalni zasiadła cała rodzina: rodzice, dwie własne córki i siedmioro dzieci w różnym wieku z różnych placówek wychowawczych. Najmłodsze – 2,5 roku, najstarsze 13 lat. Wszyscy odświętnie ubrani. Muzyka kolęd polskich otula pokój radosnym, podniosłym nastrojem. Świąteczny klimat udziela się wszystkim. Najmłodzi zerkają łakomie w stronę wielkiej choinki, pod którą piętrzą się podarunki. Starsi czekają na pierwsze potrawy, których zapachy wypełniają cały dom i nieznacznie drażnią swoją apetyczną wonią.

– Kochani, to nasze pierwsze wspólne święta. Życzę Wam i sobie, byśmy wszyscy czuli w naszym domu miłość, radość i ciepło. By każdy z nas znalazł tu swoje miejsce. By nie było między nami kłótni i sporów – zaczął życzenia „ojciec”, wyraźnie wzruszony sytuacją. – No i żebyście byli szczęśliwi, zdrowi i dobrze się uczyli – skończył, łamiąc trzymany w dłoni opłatek.

Teraz wstała Ona i drżącym głosem powiedziała:

– Dołączam się do życzeń, i chcę wam coś ważnego powiedzieć. Od dziś mówcie do nas – Mamo i Tato!

Po czym usiadła ciężko na krześle, jakby przytłoczona słowami, które wypowiedziała. Zapanowała cisza. Z kilku oczu popłynęły łzy szczęścia...

*

Zerknęła na budzik – 5.25. Jeszcze pięć minutek pod ciepłą kołdrą, ale żeby tylko nie zaspać! Pora wstawać. Szybka toaleta, narzucony szlafrok i do kuchni. 5.40, – wstawiona woda na herbatę. Teraz szybciutko ubieranie się i biegiem do pobliskiego sklepu po dziesięć litrów mleka i świeżutkie pieczywo. Dzieci przecież tak lubią pachnące bułeczki. Dzisiaj już nikogo w sklepie nie dziwi te kupowane co rano 4 chleby i 20 bułeczek, choć ciągle pamięta te usłyszane w sklepie mięsnym nienawistne słowa, rzucone przez kogoś stojącego w kolejce: „Narobiła dzieci i teraz ma kartek pod dostatkiem, a dla nas nawet mortadeli braknie!”

Teraz biegiem do domu. O 6.15. budzenie. Nie jest to łatwe zadanie, gdy się ma cztery pokoje „wypełnione dziećmi”. Jedni chowają się pod kołdry, inni udają ból brzucha, czy ucha, starsi twierdzą, że dziś lekcje odwołane, bo pani od polskiego jest na wycieczce, itd., itd. Wszystko najczęściej kończy donośny głos męża: „Pobudkaaaa!”. Dziewczynki wstają szybciej. Każda chce pierwsza zdobyć łazienkę dla siebie. Na szczęście są dwie. Przed drzwiami obu wieczne kłótnie i spory. W tym czasie trwa gorączkowe szykowanie śniadania. To niełatwe – 13 talerzyków (przed każdym leży zawinięta kanapka na drugie śniadanie), kubki, dzbanki mleka i herbaty. Najtrudniejsze są wyjątkowe poranki, gdy dzieci na śniadanie zamawiają naleśniki. Wieczorne smażenie i poranne odgrzanie 30 placków na 7.00 to prawdziwy rekord świata! O 7.15 wszyscy zaczynają się spieszyć, śniadanie jest polykane w pośpiechu. Tylko najmłodszych trzeba karmić, ale do przedszkola można zaprowadzać je do godziny 9.00, jest więc jeszcze czas. Szybkie buziaki w drzwiach i rzucone

„Powodzenia!”, wędrowka z maluchami do przedszkola i można brać się za codzienne prace domowe. Sprzątanie, pranie, zakupy i gotowanie obiadu w wielkich jak kotły garnkach. Czas płynie strasznie szybko...

*

– Trzeba załatwić kartki na buty, bo dzieci w zimie będą chodzić w trampkach!-zaczęła wieczorną rozmowę, gdy w domu zapanowała względna cisza. – Z kurtek też chłopcy wyrosli!-dorzuciła.

– Zobaczmy, co się da zrobić – powiedział mąż z troską. – Ale wiesz, lodówka nawaliła, a Marek chyba dziś będzie spał na podłodze, bo jego łóżko się rozleciało – zażartował.

– Jakoś sobie poradzimy, nie martw się. Acha, załatwiam w różnych zakładach pracy dla wszystkich książeczki mieszkaniowe, żeby każdy z nich miał swój własny kąt, jak dorośnie.

– Super!-krzyknęła, rzucając mu się na szyję.

*

26 maja. Wyjątkowy dzień każdego roku. Od rana życzenia, drobne prezenty i wzruszenia. Dom pachnie kwiatami. Są jak zwykle wszyscy – dzieci i wnuki. Małe „słodkie” przyjęcie i mnóstwo wspomnień, opowieści, żartów. Mama posadzona na „tronie” (to telewizyjny fotel taty) i tradycyjne, odśpiewane przez wszystkich „Nie ma jak u mamy...”. Przejmująca i mądra piosenka, która zawsze wyciska z oczu łzy.

*

– Uchwałą Rady Państwa z dnia 22 czerwca 1988 roku odznaczona została Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski – usłyszała. Czuje się sparaliżowana, słysząc swoje nazwisko.

Pełne wzruszenia słowa córki:

– Mamciu, to o Tobie, idź, proszę! – przywracają jej świadomość.

*

Siedzi zamyślona, wsparta o parapet okna. Patrzy w jesienny krajobraz miasta. Znów powraca czterdzieści pięć lat wspomnień... Twarze dzieci (dziś już dorosłych), wizyty w szpitalu (szczególnie Marek był zawsze chorowity), problemy z wagarami Jaśka, wywiadówki w szkołach i kłopoty z nauką Marysi, rozwalone na wycieczce kolano Zosi, matura i egzaminy na studia, śluby Zosi i Krysi, narodziny wnuka Karolka, pogrzeb męża... Obrazy z przeszłości przesuwają się, jak w kalejdoskopie. Wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia... I ta powracająca myśl: „Minęło tyle lat, przeszło tyle spraw, pokonałam tyle problemów, doznałam tylu zmartwień i radości, a wszystko jakby trwało tylko pięć minut...”.

II miejsce

Jolanta Maria Dzienis
(Białystok)

Nagroda za dźwięki, barwy, kolory dawnego Białegostoku. Za możliwość odbycia podróży w czasie po dawnym mieście, które wielu skonfrontuje z własnymi wspomnieniami. Drobiazgowy opis ulic, sklepów, zapomnianych neonów na Lipowej wzbudza emocje, bo każdy z nas przechadzał się główną arterią miasta. Autorka dokumentuje kawałek swojej pamięci i przy okazji malowniczym opisem pobudza zapomniane zakamarki naszych wspomnień. Piękny, literacki opis tętniącej życiem dawnej ulicy Białegostoku.

Dzieciący świat między kościołami

Znacie Białystok? Na pewno tak, nie będę więc pytać, czy wiecie, gdzie jest to miejsce, w którym akurat przebywam. A raczej siedzę. Może niezbyt wygodnie, bo grzbiet betonowej owcy, na który się wdrapałam, ziębi nieprzyjemnie tak zwane cztery litery. Figura Jezusa Dobrego Pasterza z rozpostartymi ramionami stwarza poczucie bezpieczeństwa. I bezkarności. Bo może nikt mnie nie zauważy i z wielkim krzykiem nie ściągnie z problematycznej miejscówki. Obok, na wyszczerbionej barierce wałów kościelnych, porzuciłam bukiet złocistych dalii kaktusowych. Mam je zanieść siostrze Izabeli do przystrojenia ołtarza. Zaniosę, na pewno. Tylko trochę później.

Teraz spoglądałam przed siebie. Wzrok biegnie trzema ulicami, ocienionymi szpalerami drzew, płynnie przechodzącymi jedna w drugą. Nie potrzebuję lornetki, żeby zobaczyć siedmiolatkę w czerwonym płaszczyku, czytającą książkę na stopniach Książnicy. Jest zatopiona w lekturze, nie obchodzi jej, że przycupnęła na schodkach niegdysiejszej Łoży Masońskiej „Zum Goldenen Ring”. Słońce wyglądające zza szczytu budynku, otacza ją świetlista aureolą. Zaskakujący symbol przeszłości.

Nie czyta długo. Zgrzyt hamującego autobusu wybija ją z transu. Zamyka książkę i chowa ją do tornistra, na którym siedziała. Z kieszeni płaszczyka wyciąga makowy, szydełkowy kapelusik. Naciąga go szybkim ruchem na głowę i rusza w kierunku skrzyżowania z Sienkiewicza. Łatwo śledzić ją wzrokiem. Czerwony ogieniek, przemykający wśród szaro-burego tłumu.

Mija właśnie Farę. Młoda, ułomna żebraczka w połatanej, brudnej sukience, spod bocznych wrót katedry wyciąga proszącą dłoń. Wierni mijają ją obojętnie. Dziewczynka ma dwie monety pięćdziesięciogroszowe w kieszonce płaszczyka, ale monety są jej potrzebne, więc z uczuciem zawstydenia, ze spuszczoną głową, szybko mknie dalej. Przechodzi obok białego kościółka parafialnego. Mimo, że bardzo się śpieszy, zajrzałyby do wnętrza, ale wie, że wszystkie drzwi są zamknięte. I te od dziedzińca, porośniętego kasztanowcami, i te ukryte w bocznej nawie Fary. Za to drzwi Kina Ton, przytulonego do kościelnego wzgórza, są otwarte na oścież. Z podcieni budynku wabią foty filmowe. Mała lubi to miejsce. Kojarzy się jej z pierwszym, obejrzanym filmem Disneya. „Zakochany kundel” stał się symbolem przewyciężonej choroby. Tu bowiem zaprowadziła ją w nagrodę mama, tuż po opuszczeniu lecznicy. Opowiedziała

jej też, że kiedyś był tu szpital-przytułek, założony przez Jana Klemensa Branickiego. Zapamiętała tę informację, chociaż nie wtedy dla niej nie znaczyła. Najważniejszy był film. Do dziś go wspomina. Nie ogląda jednak fotosów, chociaż ma na to ochotę. Chce zadzwonić do mamy, do pracy. Mija Archiwum Państwowe. Zerka na nie kątem oka i przez myśl przebiegają jej słowa taty, że to dawniej był Cekhauz, czyli zbrojownia, albo też w ostateczności składnica sprzętu strażackiego. Wiadomości tej nie wyrzuciła z pamięci, bo bardzo spodobało jej się obce słowo. Jak egzotyczny kwiat.

Przypiesza kroku i widzi już budkę telefoniczną, wciśniętą między kiosk Ruchu i Stary Dom Towarowy, nad którego oknami wystawowymi wiszą przybrudzone markizy. Przed budką stoi długa kolejka. Sześć osób, przestępujących niecierpliwie z nogi na nogę. Za dużo czekania, stwierdza i zmienia swój plan dnia. Pojedzie autobusem. Mamie opowie wszystko wieczorem, ostatecznie nic ważnego się nie wydarzyło. Lekcje zostały dzisiaj skrócone z powodu rady pedagogicznej, wolny czas wykorzystwała więc na wizytę w bibliotece. Teraz musi tylko zdążyć na katechezę do Kościoła św. Rocha. Jeżeli skorzysta z komunikacji miejskiej, będzie miała czas na wizytę w ogrodzie Leluszów. Ostatnia myśl rozjaśnia jej poważną buzię rozmarzonym uśmiechem. Ogląda się za siebie, w stronę przystanku, usytuowanego wygodnie między Kinem Ton, a Archiwum. Na zakręcie przy Pałacu Branickich pojawił się właśnie autobus. Robi w tył zwrot i biegnie, żeby zdążyć. Uff! Udało się! Gdy pojazd przystanął i otworzyły się tylne drzwi, wsiadła tylko z lekka zasapana. Kupiła bilet u konduktora. Oczywiście ulgowy. Jedna piéćdzie-

sięciogroszówka ubyła z jej kieszonki. Druga przyda się albo na powrót, albo na rozmowę telefoniczną z budki.

W brzuchatym wnętrzu autobusu nie ma wielu pasażerów. Jest dużo wolnych miejsc. Siada przy oknie po prawej stronie. Zna na pamięć obraz przesuwany się przed oczami, ale przyciska nosek do szyby, bacznie obserwując mijane miejsca. Dom Towarowy Merkury, a zaraz po nim restauracja Astoria na rogu ulic Sienkiewicza i Rynku Kościuszki, zostały w tyle. Za skrzyżowaniem wielkie oszklone witryny księgarni Empik, wabią przechodniów bogatym asortymentem. Przychodzi tu z rodzicami najczęściej po płyty gramofonowe. Czarne krążki z bajkami, wierszami i piosenkami dla dzieci. Ostatnio dostała na imieniny nagranie „Ptasiego radia” i innych utworów Juliana Tuwima. Słuchała ich tyle razy, że umie wszystkie na pamięć. Deklamuje je z upodobaniem koleżankom z podwórka, kuzynom i znajomym rodziców. Lubi to robić, co zaowocuje wkrótce wygranymi w konkursach recytatorskich.

Autobus minął bank PKO, pasaż prowadzący do ulicy Ludwika Zamenhofska i sklep tekstylny, z wejściem, skrytym pod arkadami. Przejeżdża teraz powoli obok Domu Usług. Tu, w oszklonym saloniku pośrodku hali, mama kupiła małej śliczne zielone, zamshowe botki. Dookoła tego sklepu gnieźdzą się, nieduże lokale, gdzie można nie tylko nabyć, ale i dopasować do figury ubrania i bieliznę. W kąciaku po prawej od wejścia ma swój warsztatik zegarmistrz, a na lewo umiejscowił się damski salon fryzjersko-kosmetyczny. Między sklepikami udało się też upchać miejski punkt informacyjny.

Dziewczynka nie wie, że za osiem lat wejdzie tu z radiomagnetofonem w ręce, żeby przeprowadzić i nagrać wywiad na zajęcia

z „Przysposobienia do życia w rodzinie socjalistycznej”. Będzie chciała dowiedzieć się, co ludzie sądzą o Poradni Przedmałżeńskiej, która rozpocznie wtedy działalność w Białymstoku. Uda się jej doprowadzić do skutku trzy rozmowy. Z salonu fryzjerskiego zostanie wyproszona, zanim wytłumaczy, po co przyszła. Nie zrazi się tym. Nie może. I chociaż zaczepiani ludzie będą odganiać się od niej, jak od uprzykrzonej muchy, zauważy w końcu młodą parę przy stoisku z akcesoriami niemowlęcymi. Na zadane przez nią pytanie:

– Czy Państwo słyszeli o Poradni Przedmałżeńskiej?
– Oczywiście, słyszeliśmy! – padnie zdecydowana podwójna odpowiedź:

– Co Państwo o niej sądzą?
– To bardzo dobry pomysł. Potrzebna jest taka w każdym mieście – stwierdzą zgodnym prawie chórem.

– A czy Państwo z niej korzystali?
– Nie zdążyliśmy – odpowie mężczyzna, patrząc z dumą na mocno zaokrąglony brzuch, nagle pokraśniałej na twarzy, towarzyski.

Następną parę, oglądającą koronkowe dessous, wypatrzy w sklepiku z elegancką bielizną. On około czterdziestki, szpakowaty, z szeroką złotą obrączką na serdecznym palcu prawej ręki, ona mająca nie więcej niż dwadzieścia lat. Od nich też otrzyma pozytywną odpowiedź na swoje dwa pierwsze pytania. Ale na trzecie mężczyzna odpowie:

– Nie jesteśmy małżeństwem – na co kobieta zaciśnie mocno zęby.

Trzecie nagranie zrealizuje w punkcie informacyjnym. Rozochrany młodzian zgodzi się wziąć udział w ankiecie. On też

będzie wiedział o istnieniu Poradni. Tylko na pytanie, co o niej sądzi, odwróci się do kolegów i krzyknie:

– Chłopaki, do cholery, co ja mogę o tym sądzić? – po czym dostanie takiego ataku śmiechu, zakończonego czkawką, że nie będzie w stanie powiedzieć już nic więcej.

Ale to przeszłość. Teraz autobus mija świetnie zaopatrzonego sklep krawiecki i mały lokalik na rogu budynku, zamykającego Rynek Kościuszki, do którego wchodzi kilka schodków. Nigdy w nim nie była, więc nie wie, co tam można kupić. Od ulicy Lipowej oddziela go przejście do ulicy Fornalskiej. A sama ulica Lipowa zaczyna się firmowym salonikiem Zakładu Przemysłu Skórzanego Chełmek. Rodzice zawsze kupują tu buty i mała już dawno postanowiła, że jak dorośnie, to ona też będzie się w nim zaopatrywać. Wszyscy przecież wiedzą, że jak buty, to tylko z Chełmka! Lecz nie myśli o tym długo, bo autobus jedzie dalej, zostawiając za sobą sklepiki złotnicze, Składnicę Harcerską, przecina ulicę Malmeda i przejeżdża obok sklepu sportowego. Pewnie była w nim dzisiaj dostawa, bo długi ogonek kolejkowiczów czeka przy drzwiach. Jest tam też stoisko z zabawkami. Gdy autobus zwalnia, widzi na wystawie ogromną lalkę, pewnie chodzącą. Marzy o takiej.

Za sportowym połyskuje nowiutkimi neonami świeżo oddany do użytku pierwszy w Białymstoku sam nocny, a tuż obok pyszni się największe w mieście Kino Pokój. Zaprasza widzów, wabiąc kolorowymi plakatami. Zanim autobus zatrzyma się na przystanku, zostawi po prawej ulicę Nowy Świat. Za przystankiem, wzdłuż Lipowej ciągnie się długi budynek, na parterze którego mieszczą się duże obiekty handlowe: Kryształ, Moda Damska, Męska i Sklep Muzyczny. Do tego ostatniego dziew-

czynka zachodzi, żeby pobrzdakać na pianinie. Sprzedawcy pozwalają jej na to, chociaż potrafi wystukać tylko pięć melodii. Dzisiaj daruje sobie tę przyjemność. Jeszcze trochę jazdy przed nią. Zanim opuści pojazd, przejedzie obok Salonu Meblowego, Cepelii – zaczarowanego miejsca sztuki ludowej, kwaciarni „Gerbera”, antykwariatu i komisariatu milicji. Minie też willę „Pod Kariatydami”, do niedawna siedzibę szkoły podstawowej.

No i nareszcie przystanek, tuż przy niewielkim sklepiu z butami dla dzieci, umiejscowiony niemal idealnie naprzeciwko księgarni po drugiej stronie ulicy. Mała wysiada, czeka chwilę, aż autobus odjedzie. Rozgląda się uważnie w lewo, w prawo i znowu w lewo, a gdy nie widzi ani nadjeżdżających pojazdów, ani milicjantów, czyhających na łamiących prawo, przebiega szybko przez jezdnię. Niezgodnie z przepisami ruchu drogowego, ale do najbliższego przejścia ma około dwustu metrów, a jej zaczęło się bardzo śpieszyć. Miejsce, do którego chce chociaż na chwilę zajrzeć, znajduje się za budynkiem mieszczącym Dom Książki Techniczno-Naukowej. Wystarczy przejść przez bramę z prawej strony sklepu i już widać ogrodzenie z metalową furtką, do której przymocowany jest szyld z napisem OGRÓD. Dziewczynka naciska klamkę i wchodzi. Jeszcze kilka kroków i ogarniają ją kolory i zapachy. Świeża ziemia, otwarte inspekty, pełne sadzonek, grządki warzywne, rabatki kwiatowe, wydzielony ogródek daliowy, pergole z pnącymi różyczkami i klematisami, krzewy i drzewka owocowe – raj na ziemi w samym centrum miasta! Na jej powitanie wychodzi Irena Leluszowa, właścicielka tego cudu. Ma dzisiaj dla niej niespodziankę. W ogródku daliowym, nad maleńkim oczkiem wodnym, stanęła fontanna, rzeźba nagiego chłopca ze słonecznikiem na ramieniu, z którego tryska stru-

mień wody. Mała jest zachwycona. Od razu ma dla niego imię. To będzie Nelusz – woła. Wzruszona ogrodniczka ze śmiechem wyraża zgodę na te niespodziewane chrzciny.

– Duszki kwiatowe szepnęły mi rano na uszko, że przyjdiesz. Mam więc twoje ulubione kakao z bitą śmietanką. Napijesz się? – zagaduje Leluszowa, zaglądając gościowi w oczy.

Gdy mała entuzjastycznie potakuje, prowadzi ją na taras przy domu, sadza na ażurowym krzeselku przy okrągłym stoliku, nakrytym lnianą serwetą z mereżkami, a sama drobnym kroczkiem idzie po dzbanek z napojem. Przynosi go, rozlewa parujące kakao w dwa duże, pękate kubki. Przez chwilę popijają smakołyk, delektując się nim w milczeniu. Cisza nie trwa długo. Przerzywa ją ogrodniczka, pytając, dokąd dziewczynka się udaje. Gdy ta odpowiada, że na lekcję religii, starsza kobieta rozpromienia się. Prosi o przystługę. Obiecała dostarczyć siostrze Izabeli bukiet pomarańczowych, kaktusowych dalii do przybrania ołtarza, a w tym momencie nie może sama tego zrobić. Pomocnicy mają wychodne, a ona nie chce zostawiać ogrodu bez opieki. Zaraz mają też przyjść klienci po zamówienia. Mała bez wahania wyraża zgodę. Dopija kakao, a Leluszowa przynosi kwiaty, przybrane asparagusem, zawinięte w biały papier pakowy. Razem idą do furtki, gdzie ogrodniczka oddaje dalej w ręce dziewczynki. Całuje ją serdecznie na pożegnanie. Pani Irena jest niewysoka, przygarbiona od ciągłej pracy przy roślinach, więc nie musi się schylać, gdy przytula gościa.

Dziewczynka, przez bramę przy księgarni, wychodzi na ulicę Lipową. Bez zatrzymywania się idzie do kościoła, położonego na wzgórzu. Pokonuje kaskadowe schody. I gdy jest już na górze, zanim pójdzie oddać kwiaty siostrze Izabeli, wślizguje

się na kościelne wały. Podchodzi do Figury Jezusa Dobrego Pasterza, który rozpostartymi ramionami chroni owieczki, przytulone do jego stóp. Bukiet kwiatów pieczołowicie kładzie na wyszczerbionej barierce, a sama wdrapuje się na grzbiet jednej z podopiecznych betonowego Chrystusa. Przez chwilę spogląda prosto przed siebie. Wzrok jej biegnie trzema ulicami, ocienionymi szpalerami drzew, płynnie przechodzącymi jedna w drugą...

III miejsce

Wojciech Więckowski
(Skrodzkie k. Rajgrodu)

Nagroda za przywołanie zapomnianego tematu dawnych zlewni i uczynienie z niego... perły literackiej. Splatają się wspomnienia wymieszane z faktami, żarty, dowcip i najprawdziwsi bohaterowie codzienności. Wierzmy, że to dopiero początek, bo historię „Niechciców” vel „Kwiatkowskich” chce się czytać dalej. Czekamy... na powieść.

Paciorki różańca

Przezwali ich „Niechcice”, bo osiedli na zakupionym gospodarstwie akurat wówczas, gdy telewizja kończyła nadawanie pięknego serialu według Marii Dąbrowskiej. W skojarzeniu pomogła pewnie jego bujna broda oraz kapelusz, który nosił przy pracy w miejsce powszechnej w okolicy maciejówki. Ksywka przyjęła się szybko i trwale. Szybko i szeroko, bo kiedy po roku gospodarzenia poszli dać na mszę dziękczynną, Wielebny w swoim kapowniku zapisał „w intencji rodziny Niechciców” i dopiero po uśmiechniętej interwencji, czerwony jak burak, poprawił nazwisko. A że szeroko i trwale, okazało się jakieś ćwierć wieku później, gdy przywieziony do Olszanki niemowlęciem, młody gospodarz po raz pierwszy zawiózł na spęd cielaki:

– Jak się nazywasz? – zapytano w czasie okolicznościowej pogawędki.

– Kwiatkowski – odparł Młody.

– A skąd jesteś? – dociekano.

– Z Olszanki.

– W Olszance nie ma żadnych Kwiatkowskich!

– Są! Jestem synem Niechcica.

– No to mów od razu!

Przyjęto ich życzliwie, choć po cichu zastanawiano się – wariaci czy aferzyści. Bo kto normalny, mając mieszkanie i dobrą pracę w mieście, przenosi się do wioski i to na kolonię, gdzie wrony już zawracają.

Gdy odwiedził ich łysy a okrągły na gębie kuzyn, poszła plotka, że to Kuroń teraz stoi za nimi, bo w Stanie Wojennym, jako opozycjoniści, musieli uciekać na wieś. Zapewne w jakiejś mierze zaspakajaniu ciekawości służyły kurtuazyjne wizyty, które zaczęto składać nowym sąsiadom. Oni rewizytowali w trybie świąteczno-imieninowym, byli zapraszani na wesela i tak przylgnęli do wiejskiej społeczności.

Na rampie zlewni niecodzienny tłok. Zlewniarka Magda ździebko zasnęła, więc teraz wszyscy uwijają się jak w ukropie, aby zdążyć przed przyjazdem cysterny. Waldek ręczną dwukółką przywiózł swoich pięć kan. Krysia na rowerze jedną. A Tolek z Kolonii na furmance cztery kany swoje i jeszcze siedem od trzech sąsiadów. Magda odbiera od nich mleko korzystając z przerw, w których wozak Wacek odnosi na wóz puste kany i przynosi następne. A Wacek krąży tak od dłuższego czasu, bo na zlecenie Mleczarni zbiera kany z całych Brzezin. Magda zaiwnia jak wieloczynnościowy robot. Każda konew ma dwukrotnie

wymalowany urzędowy numer dostawcy – na zwęźce i na dekle. Trzeba pobrać z szafki szklane naczynko z odpowiednim numerem i długą pipetą, sięgając do dna każdej kany pobrać próbkę i wlać ją do naczynka. Przy okazji sprawdzić, czy kany pełne wypełnione są rzetelnie, po samą szyjkę. Mleko z kany niepełnej każe przelać do miernika, a po zliczeniu zawartości wszystkich kan zapisuje wynik na koncie danego dostawcy i dopiero wtedy pozwala przelać mleko do wielkiej wanny chłodzącej. A tu Kazik, wozak z Olszanki, zajeżdża parą koni z platformą pełniuteńką konwi. Towarzystwo solidarnie łapie się za noszenie konwi, więc Kazik stojąc na wozie tylko dyryguje – teraz te trzy, teraz te dwie, a teraz tych pięć. I ustawia za porządkiem, według numerów, powracające bańki. I udało się – ostatnia kana wróciła na wóz w momencie, kiedy na podjazd zajechała cysterna. Ale dla Kazika to był dopiero początek feralnego dnia. Gdy wrócił do domu i zasiadł do zasłużonego śniadania, rozszczękały się psy, bo przy bramie stanął Hieronim z małą kaną w ręku. Kazik musiał podejść do bramy, bo z Hieronimem był pogniwany i nie wpuszczał go na podwórko.

– Czego postawił mi na ławce nie moją kanę?
– Jak nie twoją, twój numer wymalowany!
– Na dekle mój, ale na kanie Stasiaków.
– No to szedłeś koło nich, trzeba było odmienić.
– Ja tam do Stasiaków nie zachodzę. Zresztą nie ja dekle pomieszałem. Niech sam do nich zajdzie. Ja chcę mieć na ławce swoją kanę.

Hieronim z przytupem postawił „dziesiątkę” przed bramą i poszedł. A Kazikowi odszedł apetyt na stygnące śniadanie, bo on także ze Stasiakami miał na pieńku i problem robił się

poważny. Postąpił chwilę, poskrobał się za uchem, wsiadł na rower i pojechał do Niechcica.

– Tobie to dobrze, ty gadasz z całą wioską, zaszedłbyś do Stasiaków i Hieronima podmieniać dekle.

– A czemu ja, przecież tobie bliżej.

– No ale wiesz, że mnie do nich nie po drodze.

– No to masz dobrą okazję zejść do Stasiaków, dobre słowo powiedzieć. A Hieronimowi, póki co, postawisz kankę na ławce.

– To nie takie proste. Długo by o tym gadać. Do obiadu by zeszło, a ja jeszcze bez śniadania. I co było robić! Niechcic wsiadł na swój rower i pojechali do wsi.

Z Wielebnym poznajomili się przy remoncie kościoła. Parafialnymi siłami wykuwali w starej posadzce kanały nawiewne do ogrzewania. Niechcic dygał taczkami wykuty gruz na podstawioną przyczepę, a że Wielebny w wytartych dżinsach i z podwiniętymi rękawami uwijał się wraz z nimi, był czas by zapalić i pogadać. Głęboka teologia z tych pogwarek nie prześwitywała, ale nawiązała się sympatyczna znajomość. Z tą teologią to wśród parafialnego kleru za tego nie było i Niechcica drażniły pobożnościowe mocno kazania. Gdy na długi, majowy weekend przyjechała siostra z rodziną, wyrzucił to z siebie. Rozgwieżdżone niebo, strzelające z ogniska iskry i upieczone na patyku gorące kiełbaski (podlewane „duchem puszczy”) nastrajały metafizycznie. Szwagier opowiedział ciekawą historię zasłyszaną od przyjaciół z oazowych jeszcze czasów:

– Na niedzielnej mszy wypadło czytanie ze św. Mateusza: „Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem

przyjdź i ofiaruj dar swój.” Wikary przeczytał Ewangelię i nawija: no to co, teraz każdy zmyka do domu – do teściowej, sąsiada czy z kim tam się pokłócił – i za pół godziny spotykamy się na Ofiarowaniu; ja oblecę kościół z tacą, a potem z czystym sercem przystępujemy do Stołu Pańskiego.

– Bardzo szczytna ortodoksja – wtrąciła siostra – ale niedzielny porządek nabożeństw by jej nie wytrzymał. Szczęśliwie proboszcz wyskoczył z konfesjonatu i zarządził korektę – pojednanie w ciągu tygodnia i powrót z czystym sercem w następną niedzielę.

– To tak według zasady – szwagier nie odpuszczał – „niech się cała wieś spali, a porządek w straży musi być”.

– Widzisz Dorotko, my tu o ewangelizacji, Janie Pawle, przemianach posoborowych, a moi wielebni na okrągło o pielgrzymkach, nowennach, pierwszych piątkach i procesjach.

– Bo widzisz braciszku, ty nie bierzesz poprawki na to, że myśmy mieli szczęście chować się wśród niezwykłych księży.

– A tak przy okazji – dorzucił szwagier – ty też jesteś częścią Kościoła. Spróbuj wnieść coś od siebie.

Po jakichś trzech latach, gdy gospodarstwo zaczęło stawać na nogi, w miejsce życzliwego pobłażania, ze strony sąsiadów zaczął pojawiać się dystans – aha, nie takie to dziwaki, radzą sobie. Zaskoczenie i uznanie pojawiło się po następnych kilku latach, kiedy to na początku ustrojowej transformacji dokupili ziemię – kilkanaście hektarów, praktycznie w jednym kawałku, w sąsiednich Strzałkach. Wiosieczka była oddalona o dobry kilometr od asfaltu i ten kilometr żwirówki wprowadził Niechcica w jej społeczność. Bo jak przychodziło do wiosennego wożenia żwiru i równania pozimowych dziur, strzałecki sołtys troskliwie

pamiętał o nowym użytkowniku drogi. Ta sąsiedzka tłoka drogowa była czymś wyjątkowym w życiu wioski, bo stawiali się na nią wszyscy, mimo, iż na co dzień nieomal każdy z każdym był pogniewany. Pięciu gospodarzy oddawało mleko do Mleczarni i codziennie cztery furmanki i jedna ciągnikowa bryczka jechały do odległej o 5 kilometrów zlewni. A wożenia „kolejką” nijak nie dawało się ustalić, bo ktoś wiózł jedną kanę, ktoś inny dwie a czasem trzy, a na bryczce zwykle jechało baniek siedem. No i znajdź tu sprawiedliwe rozwiązanie. System „każdy po dniu” bulwersował biedniaków – „a co ja będę bogatemu kany dygał”. Dla bogatego nie do przyjęcia było „ile kan, tyle dni” – „legaty będą spać, a ja będę latał jak wariat”. I tak wszyscy zgodnie woleli nic sobie nie ulżyć, byleby sąsiadowi nie było lepiej.

Zwariowany pomysł, by rzucić miasto i „ze świeżego powietrza” budować własne gospodarstwo, miał jednak przykrą dolegliwość – trzeba było za to wszystko zapłacić. Dochody z produkcji jakoś wystarczały na pokrycie bieżących kosztów oraz nielicznych zobowiązań kredytowych, ale trzeba było jeszcze za coś żyć. Zaczynała się zima, zrobiło się luźniej z czasem, bo skończyły się prace polowe i Niechcic dogadał z prywatnym tartakiem dostawę drewna. Wykazał się jako drwał, brzozowe i olszynowe pnie załadował na przyczepę, a gałęzie zamierzał po powrocie pociąć na opał. Nieopodal tartaku mieszkali znajomi, do których wracając zajechał na kawę. Podskoczyli oni z oburzenia na pomysł przepuszczenia brzozowych gałęzi przez piec, bo dla nich był to cenny surowiec – piłą tarczową cięli brzozowe gałęzie na plasterki, z których wykrawali różańcowe koraliki. I od ręki wynegocjowali współpracę – Niechcic odda im część

gałęzi, a oni pożyczą mu samodzielną wiertarkę ze specjalnym wiertłem-frezem i odbiorą surowe paciorki.

Te paciorki wycinali z żoną przez całą zimę i jeszcze w marcu wypełniały im każdą wolną chwilę, a sięn do której wstawili wiertarkę – skrzypiącym szumem frezującego wiertła i wylatującym spod niego drzewnym pyłem. Muzyka przez ten szum się przebijała, lecz kiedy radio zatrąbiło hejnał mariacki i Niechcic chciał posłuchać wiadomości, musiał wyłączyć maszynę. I w tej dzwoniącej w uszach ciszy usłyszał, że w czerwcu papież JP II odwiedzi Łomżę. Natychmiast napłynęły wspomnienia z pielgrzymki w roku 1983 – radość wspólna z tłumem obiegającym Aleję Żwirki i Wigury w czasie przejazdu z lotniska. A o dostaniu się na Stadion Dziesięciolecia nie było co marzyć – ciżba wypełniająca szczelnie błonia zatrzymała ich przy samych Alejach Jerozolimskich. A potem chwila skupionej ciszy i niezwykła owacja tej mnogości ludzi po wezwaniu przez JP II Ducha Świętego, aby zstąpił i odnowił oblicze Tej Ziemi. Niechcicowi bliski był pogląd o istotnym związku tego wezwania ze zwołaniem Okrągłego Stołu i upadkiem Muru Berlińskiego, więc rzeźbiąc, w ramach poobiedniego relaksu, kolejną partię koraliików zastanawiał się, czym mogłoby zaowocować łomżyńskie spotkanie. A że już taka jest ta ludzka natura, iż myśl o Panu Bogu szybko splata się z myślą o ulżeniu sobie w tym, co najbardziej boli, pomyślał o ludzkiej głupocie. Bo bardzo go bolała głupota ludzkiej złości, która nie dość, że zatruwa serce, to jeszcze idiotycznie komplikuje życie. A gdyby tak zakombinować, żeby każdy paciorek to jedna głupota mniej?

Gdy na niedzielnej mszy Wielebny zapowiedział parafialne przygotowania do łomżyńskiego spotkania, poszedł do niego

opowiedzieć o swoim pomysłu. Jako punkt wyjścia zrelacjonował strzałkowskie i kazikowe problemy z wożeniem mleka i oddawaniem baniek, po czym postulował:

– Postawmy przed bocznym ołtarzem naczynie z różańcowymi koralikami i skarbonkę na Dar Papieski. I ogłosimy, że każdy, kto zwrócił się z pojednaniem do teściowej, sąsiadki, męża, żony czy kogokolwiek, ma prawo pobrać z naczynka jeden paciorek i wrzucić do skarbonki. Jeden paciorek za jedno pogodzenie się z bliźnim. Te paciorki spleciemy potem w „Różaniec Pojednania”, który delegacja parafialna wręczy papieżowi.

– No tak, ale jak każdy sam będzie swoje pojednanie oceniał, to nie będzie to zbyt wiarygodne.

– No to może ksiądz zapodać, że potrzebna jest weryfikacja pogodzenia się, na przykład w czasie spowiedzi.

– A to już poważnie komplikuje przedsięwzięcie.

– Ale stawiam dolary przeciw orzechom, że dla Jana Pawła będzie to najcenniejsza pamiątka z całej pielgrzymki.

– Nie przewiduję, żebym miał dostęp do papieskich ocen.

– Spokojnie, dowiemy się o tym z mediów, będzie o tym głośno.

– No, pomyślę o tym. Pomyślę.

Przez kolejne tygodnie i miesiące nie było widać szczególnych oznak księżowskiego myślenia. Przetoczyły się wprawdzie przez wioski Kółka Różańcowe, zbierając kasę na jakiś kosztowny „Dar dla Ojca Świętego”, ale skarbonka na pojednane paciorki przed bocznym ołtarzem się nie pojawiła. Za to Wielebny po pielgrzymce ogłosił zbiórkę datków na budowę przy plebanii kapliczki Matki Boskiej Fatimskiej – na pamiątkę odwiedzin papieża, który ma do tej figury specjalne nabożeństwo.

Wyróżnienie

Tadeusz Maksimowicz

(Bełchatów)

Wyróżnienie za pasję w poszukiwaniu wiadomości o mało znanym człowieku, który był przyjacielem rodziny. Za upór, który pomógł znaleźć wszystko, co potrzebne do stworzenia portretu mieszkańca Zabłudowa sprzed wielu, wielu lat. Narrator szuka tropów, śladów, wspomnień, żeby zbudować opowieść żywą, soczystą i momentami zabawną, gdy opisuje przygody Leona z gąsiorem. To także opowieść o rodzaju literackiego imperatywu, który pcha w ramiona przeszłości, bo wie, że to świetny materiał na... literaturę.

Dobry człowiek

– Czy pamiętasz Pana Leona? – pytałem znajomych i krewnych, o których miałem wiedzę, że w wyniku różnych okoliczności, spotkali tego człowieka na swojej życiowej drodze. Prośba o przypomnienie sobie jaki był, kim był, co robił, na czym polegała ich znajomość, wywoływała początkowo na twarzach moich rozmówców pewne zaskoczenie, stopniowo przechodzące w błogi uśmiech, świadczący o miłych wspomnieniach, związanych z osobą Pana Leona. I wreszcie padała odpowiedź, krótka i co najciekawsze za każdym razem taka sama:

– To był dobry człowiek – lub – był dobrym człowiekiem – mówili. Mój Zabłudów – miejsce bardziej usadowione w moich

sferach emocjonalnych, niż racjonalnych ocenach, wszak z trzech miast gdzie przyszło mi mieszkać na stałe, w Bełchatowie mieszkam już prawie czterdzieści pięć lat, w Olecku mieszkałem dwadzieścia trzy lata a w Zabłudowie zaledwie niecałe trzy. Ale w Zabłudowie urodziłem się, w Zabłudowie jako dziecko spędzałem wspaniałe wakacje i tu mieszkali moja Babcia Zosia i Dziadek Walerek. Emocje i wielkie ciągoty do tych miejsc przez wiele lat skutecznie rozniecał i podtrzymywał przyjaciel mojego domu Jan z Łubnik.

W tymże Zabłudowie, w 1905 roku urodził się Leon Powichrowski, człowiek zacny i bliski, przyjaciel naszej rodziny, człowiek szanowany przez dorosłych, kochany przez dzieci. Trudno w tej chwili snuć opowieść o jego dzieciństwie i latach młodości, wszak grubo sto lat minęło od tego okresu i nie ma już z kim o dniach młodości Leusia wspominać. Ci którzy pamiętają go z autopsji mają dobrze po siedemdziesiątce a nawet po osiemdziesiątce, natomiast wiedza pozostałych, oparta jest na opowiadaniach oraz nielicznych dokumentach i fotografiach, które się po nim zachowały.

Na przełomie lat 20-tych i 30-tych poznał Kornelę, pannę o rok młodszą, pochodzącą z miejscowości Sikory, położonej niedaleko Knyszyna w gminie Kalinówka (obecnie Mońki), parafia Kalinówka Kościelna – około sześćdziesiąt kilometrów od Zabłudowa. Panna Kornela sympatyczna i pogodna, zaradna, bardzo kobieca, nieco gadatliwa, niekiedy mówili rozszczębiotana, prowadziła gospodarstwo domowe u państwa Mrozów, zabłudowskich sklepikarzy. W międzywojennym Zabłudowie popularne było tworzenie się wśród młodych, ale już samodzielnych ludzi, nieformalnych grup towarzyskich. Po ciężkiej pracy

spotykali się, organizując sobie wolny czas; majówki, nie tylko w maju, zabawy nie tylko w karnawale, randki nie tylko w celach matrymonialnych. Nie tylko, ale często tworzące się w grupach pary, kończyły przed ołtarzem. Tak też było z Leonem i Kornelą, których w 1931 roku Pan Bóg połączył a ksiądz pobłogosławił.

Leon ciężko pracował w wielu miejscach, gdzie tylko było jakieś zatrudnienie z wynagrodzeniem, najczęściej w garbarni Chaima Millera na ulicy Podrzecznej. Ciężka i chorobotwórcza była to praca; wilgoć, odór garbowanych skór i używanych w procesie garbowania chemikaliów, dawały się we znaki nie tylko pracownikom ale również pobliskim mieszkańcom.

– Oj nadojeło dzisiaj, boli dla mnie głowa – uskarżał się po powrocie z pracy i to „dzisiaj” stawało się coraz częstsze. Cztery osoby trzeba jednak było wykarmić, bo kiedy wybuchła wojna, syn Janek miał już dziewięć lat a córka Stanisława o trzy mniej.

Jakoś przeżyli trudny okres okupacji i sowieckiej i niemieckiej a tak się złożyło, że Zabłudowianie doświadczyli i jednej i drugiej. Wojna w Zabłudowie skończyła się już pod koniec lipca 1944 roku a mówiąc precyzyjniej, to okupant niemiecki opuścił Zabłudów, . Nie należy jednak sądzić, że przyszła wolność i nastął pokój, wszak wiemy jak to było – ale do rzeczy. Kadra nauczycielska w miasteczku była aktywna przez całą okupację, prowadząc tajne nauczanie i gotowość tą wykazała, przystępując do pracy oświatowej natychmiast po wyjściu Niemców. Gorzej było z lokalem. Jeszcze w 1936 r. potrzeby skłoniły władze i mieszkańców do budowy nowego, murowanego, piętrowego budynku szkolnego. Budynek był prawie gotowy kiedy wybuchła II wojna światowa i gdy miasto przeszło w ręce niemieckie, w budynku tym lokum znalazły władze okupacyjne, na odchod-

ne niszcząc go doszczętnie. Zanim został odbudowany przekazano oświacie drewniany, obszerny budynek z przestronnym parterem i pomieszczeniami mieszkalnymi na sporym poddaszu. W obiekcie tym przed wojną mieściło się zabłudowskie przedszkole. Były tu i izby lekcyjne, były i mieszkania, było też kilkanaście miejsc internackich. Szkoła ruszyła a wśród zatrudnionych nauczycieli znaleźli się moi rodzice Antoni i Tomira. Zatrudnienie znalazł również bohater mojej opowieści – Pan Leon. Oprócz zatrudnienia przydzielono i jednej i drugiej rodzinie lokale mieszkalne. Antoni z żoną Tomirą i córeczkami Marysią i Urszulą zamieszkali na parterze a Leona z żoną Kornelą, synem Jankiem i córką Stanisławą zakwaterowano na poddaszu. Antoni uczył matematyki, Tomira polskiego, czasem historii zaś Pan Leon, stał się najważniejszą osobą reaktywującej się zabłudowskiej oświaty. Powierzono mu najbardziej odpowiedzialne, wielozadaniowe stanowisko. Gospodarz obiektów, konserwator urządzeń, opiekun i powiernik, ochroniarz i porządkowy czyli człowiek „złota rączka” i woźny szkolny.

Miał swoje zasady, których rzetelnie przestrzegał, był uczciwy i mimo okazywanej, zewnętrznej surowości zjednywał sobie zaufanie i przyjaźń młodzieży i współpracowników a dzieci wręcz go kochały. Starsi o 10 lat od Tomiry i Antoniego Kornela i Leon szybko stali się najlepszymi sąsiadami i bliskimi ludźmi. Ich dzieci i nasze dzieci spędzały wspólnie czas, zaś doglądane razem były bezpieczne. Do wymienionej wyżej czwórki doszła w 1947 mała Zosia, siostra Janka i Stasi a we wspólnym spędzaniu czasu i wspólnych zabawach brali jeszcze udział Maryś i Czarek, synowie kierownika szkoły. Nie sposób wymienić wachlarza gier i zabaw zarówno tych znanych powszechnie jak i tych

wymyślanych na poczekaniu ale o jednej warto wspomnieć. Jej podlaska odmiana nazywała się grą „w kaczanego” i polegała na kulaniu pisanek w okresie wielkanocnym a różnych, okrągłych przedmiotów w pozostałym czasie. Janek, kilkunastolatek wołał już inne towarzystwo ale Stasia lubiła matkować tym młodszym, choć czasem, kiedy słycać było hasło „siku” lub „kaku”, pomoc nie była łatwa. Oko Pana Leona widziało wszystko, krzywda nikomu stać się nie mogła, zaś sprawiedliwe oceny i wyroki dziatwa bez szemrania akceptowała. Jak się przytrafiła kuka to do wujka Leona jak w dym; pochuchał, podmuchał i kuka przestawała boleć.

Kiedyś Leon przywiózł gęsiora żeby przez lato go podtuczyć a w odpowiednim czasie uatrakcyjnić powojenny jądłospis. Gęsior chodził luzem i upatrzył sobie naszą Marynię; syczał na nią, straszyl a nawet brał się za szczypanie. Tylko Pan Leon mógł coś w tej sprawie zaradzić. Przy czteroletniej Marysi nakrzyczał na ptaka i za nogę przywiązał do płotu. Dziecku zrobiło się żal i w obecności gęsiora oznajmiła:

– On już więcej nie będzie – i dodała po chwili – tak mi obiecał, Wujku Leonie trzeba go odwiązać.

O dziwo uwolniony ptak więcej Maryni nie zaczepiał.

Antoni z Leonem znajdowali wspólny język i tematy do rozmów. Szkoła była wspólna, polityka była wspólna i te dwie sfery życia wystarczyły do prowadzenia długich rozmów. Antoni popalał, za to Leon kopcił jak lokomotywa; „Popularne”, „Sporty” i co się dało ale najchętniej „Mocne”. Choć wiedział, że lata w garbarniach zniszczyły mu płuca i puka do nich astma, nie potrafił przestać palić. Obaj panowie mieli wspólną ulubioną potrawę. Były to oładki, smażone na słoniu placki ziemniacza-

ne, zarówno jako same placki, jak też jako kanapka: dwie skibki chleba z plackiem w środku. Smakowało nawet bez prynuki; próbowałem, naprawdę dobre.

Pan Leon był niezbyt wielkiej postury. Mężczyzna szczupły, by nie powiedzieć wręcz chudy, twarz pociągła z lekko zapadającymi się policzkami, ciemne, przyprószone siwizną włosy, zaczesane do tyłu. Miał głęboko osadzone oczy, spokojnie oceniające świat spod mocnych, gęstych brwi. Wiele mówiły też jego ręce, na których widoczne były ślady ciężkiej pracy, a których dotyk potrafił być bardzo delikatny. Postura niewielka, niewielka rozmiarami ale ogromna przez emanujący spokój, stanowczość i zdecydowanie, wtedy rysy stawały się łagodne i pogodne.

– Tato! Wujku, gdzie jedzie tata? – darła się Marynia biegnąc jak szalona przed budynkiem, w którym mieszkali. 12 października 1945 roku kilku uzbrojonych mężczyzn przyjechało przypomnieć dawnemu podchorążemu, członkowi NZS, że trzeba wspomnienia zakopać głęboko i określić się po jednej i jedynie słusznej stronie. Po ponad 75-ciu latach widzę przestrach w oczach Marii, kiedy opowiada mi o żołnierzach z karabinami, na każdym rogu budynku i innych, którzy zawlekli jej ojca do takiego wojskowego samochodu, co nie miał dachu. Miała wtedy niespełna cztery lata. Leon utulił, pogłaskał i obiecał, że tata wróci. Jak Leon obiecał, to znaczy, że tak będzie. I rzeczywiście po kilku miesiącach wrócił ale przestrach pozostał. To Leon zaalarmował rodzinę i namawiał do jeszcze możliwej ucieczki, lecz Antoni nie chciał uciekać. W tej wojnie nauczał się już wystarczająco.

W październiku 1948 roku, w Piotrkowie Trybunalskim sąąd pochodziła Tomira, zmarł Antoni Bolesław Wichliński, ojciec Tomiry. Po sporym namyśle i poważnej rozmowie z sąsiadami postanowiono, że Leon i Kornela zajmą się dziewczynkami, by mama i tato spokojnie mogli jechać na pogrzeb ich dziadka. Właściwie to Leon miał się zaopiekować Marynią i Ulą bo Kornela zajmowała się roczną córeczką Zosią. Dziś taką podróż można wykonać w ciągu jednego dnia, w tamtym okresie było to jednak przedsięwzięcie bardziej czasochłonne.

Tym razem „bohaterką” wydarzeń była młodsza z sióstr Urszulka. Czy to zapowiedź wyjazdu rodziców i spowodowane tym faktem niepokój i zdenerwowanie dziecka, czy to zwykły zbieg okoliczności, ale akurat w tym samym czasie, nastąpił u Uli atak robaczyicy. Choroba dość popularna w tych czasach wśród dzieci; osłabienie, ból brzucha, brak apetytu oraz pojawiające się dokuczliwe nudności i wymioty. W tym przypadku nieobecność rodziców miała znaczenie kluczowe i potęgowała objawy. Może ktoś pomyśli, że to jednak Pani Kornela sprawowała pieczę nad chorą dziewczynką? Może i tak by było, gdyby nie dość kategoryczne oświadczenie Urszulki:

– Ja chcę żeby Pan Leon tu był.

I tak wujo Leon drzemał przy małej pacjentce i był na każde jej wezwanie, aż do powrotu rodziców z Piotrkowa Trybunalskiego.

Kiedy przyszedłem na świat, Pan Leon miał czterdzieści cztery lata. Kiedy zaś ja z rodziną opuszczałem Zabłudów, miałem niecałe trzy. Nie pamiętam Go z tego okresu, nie pamiętam też czy kiedykolwiek nasze drogi jeszcze się zeszły. Pamiętam natomiast kilkakrotnie opowiadaną przez mojego ojca historyj-

kę o tym jak to Pan Leon stał się heroldem obwieszczającym bez użycia jednego słowa, narodziny następcy. Cofnijmy się do grudnia 1949 roku, konkretnie do dnia 22 grudnia, około godziny 13-tej. Był to czwartek, ostatni dzień nauki przed świątecznymi feriami i chyba też piąta, ostatnia tego dnia lekcja. W sąsiednich pomieszczeniach kompleksu szkolnego pod baczynym okiem Panny Franciszki, najlepszej na świecie akuszerki, robiłem wszystko, by na ten paskudny świat nie wychodzić, Ona zaś robiła wszystko, by stało się to jednak jak najszybciej. Właśnie około pierwszej, to znaczy trzynastej, nastąpił rozejm i po prostu urodziłem się Bogu na chwałę, ludziom na pociechę. Do drzwi klasy, w której odbywała się lekcja matematyki zapukał Herold Leon. Nie wchodził do klasy, tylko przez uchylone drzwi wsunął rękę do klasy z wyciągniętym do przodu jednym palcem i bez słowa zamknął drzwi. W tej rodzinie były już dwie córki! Lekcja została zakończona przed czasem, w pokoju nauczycielskim pozostał już tylko ksiądz Sewioło, który uczył religii i był przyjacielem domu. Poszli zobaczyć narodzone dziecię i po oględzinach przystąpili do uczczenia narodzin syna. Podobno to świętowanie trwało nieco dłużej niż przewidywał protokół, no ale cóż, syn to syn.

Po latach, kiedy w poszukiwaniu danych metrykalnych do budowy drzewa genealogicznego, trafiłem na zabludowski cmentarz, poprosiłem moją przewodniczkę, kuzynkę Ewę, by pokazała mi miejsce gdzie spoczywa DOBRY CZŁOWIEK, gdyż sam szukałem ale bez skutku. Musiałem zmienić dane w moim genealogicznym GPS, by wyprostować ścieżki pamięci.

Muszę koniecznie jeszcze coś z tym zrobić...

NAGRODA SPECJALNA
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA
PODLASKIEGO

Irena Słomińska (Białystok)

Przedstawienie świata jest boleśnie aktualne, uniwersalne. Opis krajobrazu wewnętrznego i zewnętrznego zdumiewa, poraża szczerością. Poetka nie ustaje w poszukiwaniach, próbach rozumienia, wiwisekcji. Docieka, drąży, nadgryza kosmos. Jednocześnie jest współczesna i antyczna. Nagroda za pozytywny upór, opór, metaforykę, twórcze nawiązanie do Tadeusza Różewicza, pasję, talent.

Ja

Zamrożone porcje chleba. Na zaś.
Na to jutro, kiedy nie wyjdę do sklepu.
Może chora, może zniechęcona, niepewna,
czy pokonam schody.
Ciągły stan zagrożenia. Niepewność to sens
życia.
Muszę jeść. By nie wymknąć się z ciała
po angielsku. Cicho, szeptem.
Porzucić swój karnawał.
Swoją bal.
Swoje ukochanie. Książkę otwierającą mnie.
Strona po stronie.
Moje kruche wiersze – kolekcję kryształów.
Stalaktyty i stalagmity wewnętrznej jaskini.
Ja, człowiek współcześnie pierwotny.

Stara kobieta,
co wciąż jeszcze wysiaduje życie.

Pajacyk

W hipermarkecie półki ciężkie od towarów.
Uginają się, czekając na zachłanne ręce.
Podaż stale przekracza popyt, nachyla się róg obfitości.
Ułamany róg Amaltei. Wylewa się z niego wszelki nad-
miar.

Zeus zaistniał i znikł.
Teraz żywność i przedmioty codziennego użytku
stały się bogiem, nie przestając być mirażem
wciąż malowanym dla ciebie przez jego kapłanów.

Rządzące światem pragnienie,
nieograniczone możliwości kreacji konsumenta
powoli tracą sens – nogi i ręce.
Bo to przecież moje ręce i moja świadomość
uległy wypadkowi na czyhającym na nie zakręcie
drogi życia. I nagle straciły urok samochody
i luksus na wynos.

Bo tak naprawdę stałam się, ja, złożona z towaru,
który się przeterminował, stracił ważność,
pajacykiem na scenie świata.

I umknęła spod nóg moja Ziemia.

NAGRODA SPECJALNA
KSIĄŻNICY PODLASKIEJ

Irena Świerżyńska (Białystok)

Za liryczne ustosunkowanie się do najtrudniejszych, aktualnych wciąż spraw i zdarzeń: emigracji, wrogości, poniewierki, tułaczki za chlebem. Dziwienie się niesprawiedliwości. Szukanie sposobów pocieszenia, ulgi w muzyce i poezji, w naturze – przyrodzie, tam gdzie „pszczoła nektarem słodzi i bąk / zostawi żądło za progim”. Za drganie, szczerość i troskę.

Z poezją...

Tu człowiek
i tu druga trzecia i czwarta dusza
dziś chodzi i mruczy
na jednej Ziemi to samo słońce
i kij na pół podzielony.
Tylko poezja
przenosi doliny uniesie z kąta ciemnego
nuta nie ma zagrody
pod nieba płynie
przykryje bagna i druty.
Zatrzymaj oko
posłuchaj – jak gra
poezja...
natury woń niesie

i motyl ma swoje
i pszczoła nektarem słodzi i bąk
zostawi żądło za progiem
ktoś – musi sprzątać w tym gaju.
I już jest lepiej i góra słyszy
i człowiek – może
już widzi w drugim człowieka
o – tak
poezja pomoże i tu
i tam za miedzą

W drodze za chlebem

Skąd jesteś
gdzie śpisz i jaka jest twoja poduszka
w gromadzie słyszałeś głos z nieba
był nan – dostatek tamtego chleba.
Z tej samej Ziemi
dwie różne miary
i kto podzielił
te same dusze rosły wśród skał
tylko za płotem już obcy
i moje
na górze
drugi – nie nasz – strzelaj i bij
przez lata śpiewa w kałuży.
A – dziecko rośnie w pyle wrogości
przez lata całe ćwiczone

nie umie
nie czuje
nie wie – że można zgodę budować
i bliski sąsiad pomoże.
Dzisiaj na polu obcym wśród drzew
zimno i nogi w błocie
i dzięgi
dzwonią w obcej kieszeni
został ci los – Judasza.
Grudy kłują tak samo i tu kamień
płaski przy drodze
gdzie
znajdziesz próg.
Na polu zostanie smak gorzki
i dobroć się buja
na włosku.

NAGRODA SPECJALNA
POLSKIEGO RADIA BIAŁYSTOK

Janina Jakoniuk (Białystok)

Nagroda za wspomnienie Wiesława Szymańskiego, redaktora i dziennikarza, poety i przyjaciela wielu piszących literatów. Narratorka opowiada o swoich próbach literackich w Poczcie Literackiej i śladzie, jaki zostawił Wiesław. Dziękujemy, że Pani pamięta. Ta opowieść oddaje naszego kolegę idealnie: zawsze był skoncentrowany na pomocy młodym twórcom, delikatny i wrażliwy we własnym obrazowaniu, przyjacielski i serdeczny. Prawdziwy dobry duch poezji – i taki pozostał na zawsze.

Pamiętam

Ta opowieść jest o panu Wiesławie Szymańskim, redaktorze Polskiego Radia, poecie, dziennikarzu, autorze kilkunastu książek. Osobiście zetknęłam się z nim tylko raz, ale ten kontakt pozostawił ślad w moim życiu, a właściwie w mojej twórczości.

Pisałam wiersze „do szuflady”, niestety. Zaczęłam w szkole średniej, ale potem była długa przerwa. Powróciłam do nich po wielu latach, kiedy moje życie ustatkowało się na tyle, że mogłam sobie pozwolić na bujanie w obłokach. Wstydziłam się komukolwiek je pokazać, aby nie stać się przedmiotem żartów. Ludzie źle postrzegają osoby piszące, a szczególnie piszące wiersze.

Zawsze po południu, kiedy szykowałam obiad na następną dzień, słuchałam sobie radia Białystok. I tak trafiłam na audycję

„Pocztą Literacką”. Okazało się, że jest ona raz w tygodniu, w piątek. Staralam się zatem tak ułożyć swoje zajęcia aby jej nie przegapić. Prowadził ją redaktor Wiesław Szymański, zyczliwie nastawiony do osób, które przysyłały swoje wiersze do oceny. Pisali przeważnie ludzie młodzi, a nawet bardzo młodzi, co mnie jako osobę już starszą trochę onieśmielało. Ale kiedyś zdobyłam się na odwagę i napisałam e-mail do pana redaktora dołączając dwa swoje wiersze. Odpowiedział mi następnego dnia oświadczając, że na podstawie dwóch, nie może wydać opinii. Wtedy zachęcena, wybrawszy piętnaście, które uważałam za najlepsze – wysłałam. A co mi tam! Najwyżej ostro mnie skrytykuje. Dość długo czekałam na odpowiedź. Nie odpowiedział mi e-mailem, tylko w Poczcie Literackiej. Zaprezentował najkrótszy z moich wierszy, który mu się spodobał, a o pozostałych tylko wspomniał: „tak się dziś nie pisze”. Wydawało mi się, że te, które były czytane w radio, nie różnią się za bardzo od moich. Co prawda wszystkie rymowałam, z zachowaniem znaków interpunkcyjnych itd. ale chyba nie były aż tak złe...? Poczulałam się nawet dotknięta. Napisałam kolejnego e-maila do p. Szymańskiego z zapytaniem w formie żartobliwej, „czy są aż tak złe, czy aż tak dobre”? Ale odpowiedzi już nie uzyskałam. To był okres kiedy pan redaktor zbierał materiały do antologii „Białystok Poetycki 2011”. Obrażona, udałam się do naszej biblioteki i wypożyczyłam sobie wszystkie książki p. Wiesława jakie w danej chwili tam były. A więc: „Rymy pluralisty”, „Miejsc”, „Witraz wileński”, „Icones Barbarae”, „Limeryki” i coś tam jeszcze. Muszę się przyznać, że nie miałam zbyt dużego pojęcia o gatunkach literackich. „Limeryki” to była dla mnie „nowość”. Wprawdzie ukończyłam studia wyższe, ale prawo administracyjne, i nie spotkałam się z tego rodzaju

wierszem groteskowym. Owszem słyszałam różne „przyśpiewki” w tym stylu, ale uważałam je za prymitywne.

Jednak kiedy przeczytałam „Witraz wileński”, a potem „Icones Barbarae” – zrozumiałam, co miał na myśli pan Wiesław Szymański...

Te książki dosłownie „powaliły mnie na kolana”.

Szczególnie wielkich emocji dostarczyła Icones Barbarae, ponieważ pamiętam dobrze ten czas, kiedy zza wschodniej granicy przywożono i handlowano dosłownie wszystkim. Opisy są tak poruszające, że chciałoby się krzyczeć. Nie mógł przejść obojętnie p. Szymański widząc na polskiej ziemi tak bezczeszczone ikony Matki Najświętszej, które wymodlone, były świętością dla poprzednich pokoleń, a zostały potraktowane jak powszednie przedmioty. Dokonano profanacji. To co miało wartość duchową wiezione było na rynek, aby sprzedać za marne srebrniki. A co najgorsze, robili to zwykli ludzie, którzy może niedawno jeszcze sami klękali przed obrazem Matki Boskiej, a których teraz ogarnęła jakaś niepojęta żądza zysku. Sprzedawali wszystko co tylko mogło znaleźć nabywców. Odwieczne ikony do których wznoszono modły przez stulecia i które być może wyrwane zostały z cerkiewnych ikonostasów, były takim samym towarem do sprzedania jak wódka.

Bardzo mnie poruszyły te wiersze i utkwily już na zawsze w mojej pamięci. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po dość długim co prawda czasie, dostałam zaproszenie na spotkanie z redaktorami antologii „Białystok Poetycki”. Okazało się, że zamieszczono tam i mój wiersz. Zaistnienie w tej książce stało się początkiem mojej poetyckiej drogi. Spotkanie odbywało się w jakiejś kawiarni na ulicy Piasta. Przyszłam z drżeniem serca.

To był mój debiut. I to w pierwszej białostockiej antologii! To nic, że tylko jeden wiersz. Ale jestem tam.

Przyszło niewiele osób, pomimo że zamieszczono utwory aż 57 autorów.

Pan Wiesław zaprezentował antologię, opowiedział w jaki sposób były wybierane wiersze, zachęcał do dyskusji i czytania swoich utworów, ale ponieważ frekwencja była mała, spotkanie nie trwało zbyt długo. Na koniec rozdano książki.

Po odbiór podeszłam na „miękkich” nogach. Poprosiłam o jeszcze jeden egzemplarz, gdyż chciałam się pochwalić nim przed rodziną i dać w prezencie siostrze. Pan redaktor Szymański podając mi drugą książkę zażartował pytając, czy aby na pewno nie chcę podłożyć tej książki pod nogę kulawego stołu, na co odpowiedziałam, że nie mam kulawych stołów.

I to było moje jedyne osobiste spotkanie z panem Wiesławem. Jednak jego utwory, po które na pewno bym nie sięgnęła gdyby nie ta korespondencja e-mailowa i ciekawość jak się dzisiaj pisze, zrobiły swoje. Chociaż daleko mi do takiego kunsztu literackiego jaki miał pan Szymański, to jednak nabrałam odwagi do „wyjścia z szuflady”. Piszę – i nawet chętnie pokazuję swoje wiersze innym.

A pan Wiesław Szymański pozostał na zawsze już w mojej pamięci.

Parę lat temu kiedy przytwierdzano w Alei Bluesa tabliczkę poświęconą Jemu jako miłośnikowi bluesa, przypadek sprawił, że akurat byłam tam obecna. Zrobiło mi się ciepło na sercu, że ludzie go pamiętają, a ja miałam przyjemność go spotkać. Okazało się nawet, że znam żonę pana Wiesława, która uczestniczyła właśnie w tej uroczystości.

Bardzo cenię twórczość pana Szymańskiego i uważam go za najlepszego poetę współczesnego na Podlasiu.

UTWORY WYRÓŻNIONE
PRZEZ PODLASKĄ REDAKCJĘ SENIORA

Wyróżnienie

Halinka Bohuta-Stapel

(Wilkanowo)

Limeryszcze podlaskie

Z Starych Wasiliszek chwata
stwierdził: „Dziwny jest ten świat”...
A był to Czesław
co w galerii sław
zostawił podlaski ślad.

Karpiński w Zabłudowie
piosenek spłodził mrowie,
w tym „Bóg się rodzi”.
(Wręcz nie uchodzi)
słów nie znać choć w połowie.)

Klimowicz w Wierszalinie
rzekł: „Ja każę wam nynie
szto Jeruzaliem
nowe postawię,
jej Boh’, jak toj hod minie”!

Rzekł raz w Królowym Moście
ksiądz do batiuszki: „Gość się
mym mszalnym winem,
a ja kruszynę

prosfory twej szczknę w poście”.

Żył sobie w Siemiatyczach
chłop, co do trzech nie zliczał
a miał chałupę
i dzieci kupę
(żony z cnót nie rozliczał).

W Supraślu pewna Danką
łka, chcąc się pozbyć wianka
bo nie wie sama
czy pomoc Jana
zda się jej, czy Iwanka.

Babka spod Sokołowa
klnie, że ją boli głowa
gdy pasąc kozy
pije sok z brzozy
(o bimbrze – ani słowa).

W meczecie w Kruszynianach
batuszka na organach
grał hymn (wraz z księdzem!)
o bóstw potędze,
w ekumenizmu ramach.

Gospodarz z Szudziałowa
z uporem doił woła
aż wół mu na to
z dezaprobatą:

„Chwatit’, toż jam nie krowa!”

Rzekł raz batuszka z Gródka:
„Mowa ma będzie krótka:
od dziś chrzczę dzieci
nie tak, jak leci
lecz Wasia lub Aliutka”.

Sklepikarz z Gródka twierdzi,
że żaden grosz nie śmierdzi,
a trzyma grosze
w starej pończosze
czym swych klientów sierdzi.

Wyróżnienie
Krystyna Gudel
(Suchowola)

Koprowe poranki

tegoroczny lipiec popisał się obfitością
skwarne dni gorące noce
i bogactwo na grządkach warzywnych

lubiła wczesnym rankiem bose stopy
zanurzyć w wilgotnej trawie
z gęstości warzywnej wylawiała
nabrzmiąte urodzajem ogórki
jeszcze koper liście porzeczek i wiśni

lubiła gdy witał dzień pocałunkiem
o smaku zadziwienia
a on uwielbiał poranki pachnące
chrzanem czosnkiem i koprem

Dlaczego winogrona dojrzewają tak często

kobieta wdycha dojrzały zapach
i wędruje do tamtego czasu

sadzonka była taka wątła
a miejsce na życie niewiadome
grunt jednak okazał się dobry
krzew rozmnażając się dzielił

sprawne jeszcze ręce kobiety obierają
zwarte kiście pełne tajemnicy
sok przelewa się przez palce
zapach nie mieści się w kuchni

kobieta upija się smakiem urodzaju
i cieszy się życiem jak dziecko
jakby to było wczoraj – myśli –
a to już ćwierćwiecze z hakiem

wciąż nie może zrozumieć
dlaczego winogrona

Wyróżnienie

Zyta Gieleżyńska
(Białystok)

Ukoronowany wirus nam nastał

Nastał i sprawił spustoszenie w populacji ludzkiej na całym świecie. Powstała panika w społeczeństwie. Ludzie izolowali się nawet w najbliższej rodzinie. Na szczęście był dostęp do sklepów spożywczych i pracowały służby komunalne. Telewizja bombardowała na okrągło o postępujących nieszczęściach. Zarazy nie widać. Nie można poznać, kto z nas może tym wirusem poczęstować. Mimo wszystko nie mogłam też uwierzyć, że to może mnie dotyczyć. W takim przeświadczeniu przetrwałam prawie rok, aż tu nagle i niespodziewanie na moje en-te urodziny zjawił się niespodziewany, bo nieproszony gość ! Najwyraźniej doczekał do daty urodzin i roku kończącego się na „jeden”, co miało zasadnicze znaczenie dla mego losu.

Nie mogę w tej chwili nawet uświadomić sobie jak jego towarzystwo wpłynęło na moje samopoczucie. Pamiętam temperaturę i niechęć do jedzenia. Miałam też świadomość, że skoro mnie to spotkało, to nie odpuści. Miałam potrzebę podsumowania życia.

Moje przekonanie o opuszczeniu tego padołu wynikało z pewnej prawidłowości trzymającej się mojej rodziny. Otóż, moi bliscy, w tym: brat, ojciec, mama, umierali w roku koń-

czącym się na „jeden”. Kiedy nastął następny rok z jedyneką, pomyślałam: no i moja ...kolej.

W normalnych warunkach proces życia jest z reguły harmonijny. Jeśli występują choroby to skutki są przewidywalne. Mają wpływ na długość życia i bywa czas na przyzwyczajenie się do sytuacji. Pandemia nas zaskoczyła. Trzeba było „na gwałt” zrobić podsumowanie życia i to we „mgłę Covidowej”. Tak jakby kończył się termin przydatności do życia. To podsumowanie wyszło jak wyszło, na ile mgła pozwoliła.

Urodziłam się w czasie wojny w małym miasteczku, gdzie otrzymałam imię jedyne na całą parafię (do dnia dzisiejszego), co nadało mi oryginalność i wyjątkowość. Zastępowało również nazwisko. Do matury przetrwałam w moim miasteczku.

Od maleńkości prezentowałam swoją indywidualność. Osobście nagannych występów się nie dopatruję, a jeśli takie były, to cóż - nic nie dzieje się bez woli Nieba. Z tego wniosek, że Sędzia Najwyższy nie ocenił mnie zbyt surowo, skoro życie moje przebiegało bez większych kolizji, co inaczej można by było odczytywać jako karę boską.

Podstawówkę ukończyłam o czasie, bez większych sukcesów. Na takich jak ja nie zwracano uwagi. Doceniono mnie jednak w deklamacji. Obsługiwałam wszystkie akademie w Domu Ludowym i konkursy recytatorskie w Białymstoku. Miałam też sukces krajowy. Otrzymałam nagrodę za rysunek kredkami, który przez przypadek trafił poza naszą podstawówkę. Temat prac plastycznych brzmiał: „szczęśliwe dzieciństwo dzieci polskich i radzieckich”. Nam jako dzieciom, szczęściem było to, że nie było już wojny a mieliśmy ją w pamięci.

Już w podstawówce i potem w szkole średniej, a nawet jak już byłam mężatką, byłam zawodniczką w biegach narciarskich i lekkiej atletyce. I nie tylko. W gazetach regionalnych z lat pięćdziesiątych, przez całą zimę, moje (zazwyczaj zniekształcone nazwisko) było co poniedziałek w prasie. Wg dziennikarza analizującego dorobek sportowców naszego regionu – moje nazwisko pojawiało wśród kobiet najczęściej.

To były czasy, że dziewczyny chodziły tylko w spódnicach. Na narty wykorzystywane były spodnie męskie. Ja miałam spodnie ojca – z mankietami. To była bardzo mało komfortowa sytuacja, kiedy trzeba było trzymać spodnie, aby ich nie zgubić i nie zaczepić wiązaniami nart o skarpetkę na mankiecie, co związałyby nogi. Jak uszyłam spodnie narciarskie na swoją miarę, to w Białymstoku, w drodze do szkoły zgorszona panie dzisiejszego mego wieku pluły mi pod nogi i chyba miały rację, bo jak dziś patrzę na nasze ulice to mam niesmak, że byłam prekursorem takiej mody na spodnie.

Technikum ukończyłam w terminie, w tym czasie jako jedna dziewczyna z mego miasta chodziłam do szkoły zawodowej. Koleżanki które dojeżdżały do białostockich szkół były w ogólniakach. Po technikum na zebraniu przedstawiciele przedsiębiorstw budowlanych, którzy angażowali absolwentów technikum, wszyscy chcieli wybierać chłopców. Wtedy wstał wzburzony Dyrektor który zaproponował jedną dziewczynę która zastąpi im trzech chłopców ! I tu padło moje nazwisko.

Nie miałam wyboru. Wyjechałam na odległy skraj województwa do pracy w Powiatowej Radzie Narodowej. Tu, mój kierownik-architekt, który, jak się wcześniej okazało wcześniej też chciał chłopca, mną nie pogardził. Wg zasady: „jak się nie ma

co się lubi, to się lubi co się ma”. Miałam objąć „dwa etaty”. W związku z czym doszło do rękoczynów, zaliczyłam miejscowy szpital i musiałam wrócić do domu.

Ja chyba naprawdę mam jakieś cechy męskie. I to może być na rzeczy, bo mój tata zawsze mówił, że miałam urodzić się chłopcem tylko „baby” w ostatnim okresie ciąży językami mnie przerobiły. To pewnie jest takie moje LGBT... Te przeróbki ciągną się już wieki... Kopernik też był kobietą? Mam męski zawód i przywary jak mężczyzna. tu będę nieskromna i przyrównam się charakterem do prawdziwego mężczyzny: Józefa Piłsudskiego. Jego cechy charakteru nie są mi obce: nie pił, palił, uwielbiał pasjanse, późno chodził spać, nie lubił bigosu, kołdunów i wiele innych, które czynił - niekoniecznie do zaakceptowania.

Wszelkie śrubki, blaszki, druty znalezione przypadkowo, zawsze mi się przydają. Mam pełen zestaw narzędzi zwyczajowo traktowane jako męskie i z nich korzystam.

Już jako mężatka i matka, poszłam na 5 lat na Wyższą Szkołę Inżynierską. Codziennie kończąc pracę, szłam jeszcze do szkoły. I tu jako pierwsza z mojej miejscowości skończyłam wyższe studia techniczne, zostałam inżynierem budowlanym. Do dziś nie znam żadnej dziewczyny z wyższym wykształceniem-technicznym z mojej rodzinnej miejscowości.

Moje wykształcenie spożytkowałam pracując jako: inspektor nadzoru na budowach, biegły Sądowy ds. budownictwa, rzeczoznawca ds. budownictwa Urzędu Wojewódzkiego...

Na emeryturze byłam też dziewięć lat ławnikiem w Sądzie Okręgowym.

Natomiast, gdy wkurzyły mnie Rządy w 1981 roku, rzuciłam pracę zawodową i poszłam na kierowcę taxi. Jako „taksówkara”,

też wielkiej konkurencji jako kobieta, nie miałam. Raczej powodzenie!

Jednak największym moim sukcesem zawodowym jest to, że nie poszłam na medycynę. Przy moich możliwościach opanowania języka obcego, mogłabym być zagrożeniem dla populacji ludzkiej. Dla mnie język obcy jest bardzo obcy. Nazwy leków są karkołomne! Ale w świecie nie zginęłam. Wracałam do domu jak weksel bez pokrycia.

W międzyczasie zażywałam wiatru we włosach na motorach. Zajeżdżałam cztery motocykle, jako kobieta byłam sensacją w Białymstoku. Miałam piękny tęczowy kask z białym daszkiem, który przywiozłam z NRD. Też był jedyny - przy białych krajowych „czerupach”. Na jedynym skrzyżowaniu ze światłami budziłam podziw: „baba na motorze” potem w samochodzie..., potem w „taryfie”... To bardzo czytelny układ ust.

Teraz jako 80-latkka zajeżdżam szósty samochód.. Też jako „baba w samochodzie”, z tym: że stara i to też... sensacja.

Ciągle budzę sensację! Chociażby to, że jeszcze żyję po tych moich wyczynach życiowych. Nawet „Covid 19”, nazywany przeze mnie „Qrvid-19”, który spał ze mną przez dwa tygodnie, zostawił mnie z niewielkim nadużyciem. Wyszło tak, jak z moim powodzeniem u płci odmiennej. Powodzenie było, ale wzięcia brak.

Zwiedziłam prawie całą kulę ziemską, od Nagasaki do Niagary z terenami przyległymi. Takim sposobem odwiedziłam ponad 30 krajów, a na morzu Czarnym zdobyłam „Miss Parochoda”. Byłam prawie na biegunie Północnym. W nocy od strony Europy – widziałam dzień w Ameryce.

Miałam kontakt z telewizją. Zaliczyłam „Randkę w Ciemno” i „Mam talent” i „Got to dance”. Interesowały się mną media publiczne jak i czasopisma.

Po 70-tce namalowałam ponad 500 obrazów. Zorganizowałam kilkanaście wernisaży. Zasilałam fundacje dobroczynne. Napisałam dwie książki. Pisano też i o mnie w kobiecych pismach. Od 12-tu lat tańczę w zespole tanecznym. Mam poczucie dobrze wykorzystanego życia i z chęcią bym jeszcze go poużywała, najgorzej, że do końca roku z „jedyneką” jeszcze trochę czasu zostało, a przewidują czwartą falą zarazy.

Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że wszystko ma swój nie zawsze piękny koniec. „Qrvid-19” mi to uświadomił i dał do myślenia. Zawsze byłam bojowo nastawiona do życia i nie poddawałam się, ale po przygodzie z tą zarazą już tak optymistycznie nie patrzę w przyszłość. Na razie regeneruję siły po przypadkowej jego wizycie. Oby tak dalej!

Nie myślę z przerażeniem o śmierci, ale ciekawa jestem: jak ten świat będzie wyglądał, kiedy mnie nie będzie ?

Wyróżnienie

Małgorzata Kąkolewska

(Sejny)

Ostatni walc...

Kiedy do Domu zechcesz już ruszyć
Będę przy tobie patrząc ci w oczy
By pocałunkiem rzęsę osuszyć
W ostatniej drodze przy tobie kroczyć

Z uśmiechem jasnym trzymać twe dłonie
Szepcząc z czułością kocham cię miły
Będę przy tobie po drugiej stronie
Zostać tu samej zabraknie siły

Słońce przygaśnie i tęcza zblednie
Gwiazdy utracą swe jasne lśnienie
Róża w ogrodzie bez ciebie zwiędnie
Nie chcę byś został tylko marzeniem

Zabiorę z sobą cudne wspomnienia
Chwile szczęśliwe taniec na moście
Miłości czulej ostatnie tchnienie
Odejść tam z tobą będzie mi prościej

Jestem gotowa trzymaj mnie mocno
Zostać bez ciebie tutaj nie mogę

Więc niech ostatni walc wybrzmi nocą
A my szczęśliwi ruszemy w drogę

Wyróżnienie

Anna Kropiewnicka

(Suwałki)

Samotność

Cóż znaczy człowiek bez drugiego człowieka
bolesna pustka, myśli niewypowiedziane
do miejsca powrotu, gdzie nikt nie czeka
monologi przed lustrem samotnie wygłaszane.

Krzesło obok stojące, na którym nikt nie siedzi
filiżanka, co o rozmowie przy kawie marzy
pytania stawiane, na które nie słyhać odpowiedzi
w dal spoglądanie, tęsknota na twarzy.

Rola życia w teatrze jednego aktora odgrywana
wszechobecna cisza, kroków nasłuchiwanie
bliskość duszy i ciała tak wyczekiwana
nieustająca nadzieja na nowe spotkanie.

Wyróżnienie

Wiesław Lickiewicz

(Hajnówka)

Westchnienie

Westchnienie... to oddech głęboki...
Oczyszcza... psychikę i płuca...
Westchnienie... to miłość do życia...
Którą! Coś nieraz... zakłóca!

Jest lekiem na smutek i stres...
Z głębin serca... płynących...
To gest... wysyłany przez mózg...
Na sygnał rosnących emocji!

Jest też reakcją... na nudę...
Na naszą tęsknotę... na klęskę...
To akt odciążenia... od cierpień...
To do nas... wyciąga los ręce!

Westchnienie... to również reakcja...
Na... sytuację życiową...
To ono... wyzwala w nas moce...
I wskrzesza... siłę w nas nową!

Zwracajmy zatem... uwagę!
Na tych... którzy często wzdychają!

I dajmy im... wsparcie psychiczne...
To z emocjami... wygrają!

Wyróżnienie

Zbigniew Nowicki
(Białystok)

A rebours, czyli silna potrzeba upamiętnienia

*Kto potrafi opisać własną wioskę,
ten potrafi opisać cały świat.*
Lew Tolstoj

Nasze miasto jest niewielkie, raptem około czterech tysięcy mieszkańców. To zadbana i czysta miejscowość. Jego mieszkańcy wiodą zwyczajne, pracowite i szczęśliwe życie. Żyją tym codziennym szczęściem, które potrafi realnie ocenić swoje skromne możliwości i szukać pociechy w rzeczach małych i drobnych przyjemnościach, jakie dają jednak poczucie spełnienia, szczególnie dla ludzi, co nie mają wobec życia zbyt dużych oczekiwań. Nad ich małym szczęściem czuwa Bóg rzeczy małych, że przywołam tytuł bestsellerowej powieści hinduskiej pisarki Arundhati Roy.

Nasze miasteczko położone jest w odległym regionie naszego kraju, wysuniętym najbardziej na północ, gdzie jest najchłodniej, ale za to do którego nie dociera dymgła. Celowo użyłem rodzimego odpowiednika zjawiska, które na całym świecie znane jest pod uniwersalną nazwą smogu, aby podkreślić, jak bardzo w naszym mieście przywiązani jesteśmy do swojskości.

Mieszkańcy naszego miasteczka w większości mają poglądy konserwatywne, wręcz zachowawcze. Są raczej niechętni wszel-

kim obcym nowinkom, które przybywają z odległego świata, nawet jeżeli już od dawna zadomowiły się w naszym języku i kulturze.

Od pewnego czasu w naszej miejscowości panuje radosna i podniosła atmosfera. Można powiedzieć nawet, że nastrój euforii. Niewielką zbiorowością od lat rządzi ten sam burmistrz, ostatnio wybrany ponownie na kolejną kadencję. Jest on jednocześnie liderem lokalnej partyjki i sprawuje niepodzielny rząd dusz, ignorując całkowicie głosy wątlej i rachitycznej opozycji.

Otóż niedawno nasz pan i władca, zwany potocznie Naczelnikiem, zarządził, że w naszym miasteczku powinno powstać kilka pomników w celu upamiętnienia najwybitniejszych i najbardziej zasłużonych jego mieszkańców. W tym celu zwołał posiedzenie rady miasta, aby oficjalnie zatwierdzić swój pomysł. Wiadomo było powszechnie, że będzie to czysta formalność, ponieważ zwolennicy burmistrza mają zdecydowaną większość, a głosy opozycji nie liczą się zupełnie.

Kiedy jako jej przedstawiciel zaoponowałem, poddając w wątpliwość sens tej inicjatywy, skoro u nas przecież nie ma i nigdy nie było ludzi wybitnych i tak na dobrą sprawę nikt się nigdy niczym nie wyróżnił i nie zasłużył. Burmistrz wziął mnie na stronę i ojcowskim i nie znoszącym sprzeciwu tonem, bo był to człowiek apodyktyczny, powiedział:

- Panie kolego, nawet jeżeli przyjmiemy, że ma pan rację, to niech się pan rozejrzy po naszym kraju. Dostrzeże pan wtedy, że powstał już niejeden precedens, a nawet liczne precedensy. Czyżby nie śledził pan doniesień medialnych? – zapytał retorycznie.
- Trzeba wyciągać właściwe wnioski i iść z duchem czasu.

Na tym zakończyła się nasza krótka rozmowa. Oczywiście pomysł burmistrza został przyjęty miazdzącą większością głosów. Należało więc teraz tylko wybrać kandydatów do upamiętnienia, ustalić metody selekcji oraz zastanowić się, czy będą to osobistości zmarłe, czy również żyjący. Postanowiono zastosować metodę losową. Ustaliliśmy, że pomniki będą cztery, z tego dwa dla mieszkańców zmarłych i dwa dla żywych, żeby było po równo czyli sprawiedliwie.

Jako opozycja nie mieliśmy nic do gadania. Byliśmy zupełnie bezradni i poruszaliśmy się jak dzieci we mgle. Chcąc nie chcąc wzięliśmy więc udział w tej farsie, zgłaszając również swoje kandydatury do upamiętnienia. Spośród wszystkich pretendentów na cokoły w głosowaniu jawnym wybraliśmy cztery osoby, wszystkie zgłoszone przez zwolenników burmistrza. Żaden kandydat opozycji nie znalazł uznania.

Na pierwszy ogień pójdzie więc pomnik niedawno zmarłej korektorki lokalnego dziennika „Nasz Głos”, Amelii Uważnej, która przepracowała w nim blisko czterdzieści lat. „Nasz Głos” to jedyna gazeta w naszym mieście, bardzo ważna dla jego mieszkańców jako źródło informacji z regionu oraz jako forum wymiany opinii. Być może poziom pisma nie był nigdy zbyt wysoki, ale trudno wymagać, żeby w prowincjonalnej gazecie pracowały tuzy dziennikarstwa, takie jak Egon Erwin Kisch, Oriana Fallaci czy choćby nasz Mariusz Szczygieł. Ot, skromna gazetka na miarę naszych możliwości, jak miś ze znanej komedii Stanisława Barei.

Autorem projektów oraz wykonawcą wszystkich czterech pomników miałby zostać nasz lokalny artysta – rzeźbiarz amator Alfons Pokorny.

Monument korektorki z założenia ma przedstawiać postać kobiety naturalnej wielkości w pozycji stojącej. Pod pachą będzie trzymać gazetę, a w prawej ręce monstrualnej wielkości ołówek, jej narzędzie pracy. Ołówek ten ma być większy niż słynny długopis, którym Lech Wałęsa podpisywał porozumienia sierpniowe. Pomnik korektorki stanie u zbiegu ulic Swojskiej i Spokojnej.

Na drugi ogień, że się tak wyrażę, pójdzie pomnik, tym razem żyjącego, najwybitniejszego piłkarza naszej miejscowej drużyny piłkarskiej, czyli czwartoligowego „Ogniska”, Sempimira Domurata. Sempimir ma trzydzieści lat. Stawiając mu pomnik nie stwarzamy bynajmniej precedensu. Skoro taki Cristiano Ronaldo może mieć swój pomnik za życia, to dlaczego nasz piłkarz nie. Sroce spod ogona nie wypadł.

Sempimir Domurat jest najwybitniejszym zawodnikiem czwartej ligi. W ubiegłym sezonie zdobył aż dziesięć bramek, w tym dwie samobójcze, a „Ognisko” awansowało z jedenastego na dziewiąte miejsce i jak tak dalej pójdzie za mniej więcej dziesięć lat ma szansę dostać się do trzeciej ligi, a to już coś. Chyba że dobrą passę przerwie wyjątkowa złośliwość losu. Jak na razie, tak trzymać. Klub piłkarski „Ognisko” jest naszą dumą i w każdy dwudzionek (mamy zamiłowanie do rodzimych określeń), czyli weekend zapełnia się po brzegi miejscowy stadion. Poza tym jego lider jest nie tylko jego najwybitniejszym reprezentantem, ale także wzorem dla młodzieży jako człowiek, sportowiec i lokalny patriota.

Prawie nie pije, no chyba po meczu, i tylko wyłącznie piwo „Chmielak” z miejscowego browaru. Z religijnością naszego sportowca może też nie jest najlepiej, ale przynajmniej raz

w miesiącu do kościoła zagląda, przeważnie w poszukiwaniu Agi, tutejszej piękności, w której Sempimir od dawna kocha się beznadziejną miłością. Czasami też w trakcie imprezy sięga po papierosa, ale przecież powszechnie wiadomo, że przy wódeczce chce się zapalić. No ale za to trawkę zapalił tylko raz i, jak później wyznał, zupełnie mu nie smakowała.

Słowem, prawie ideał, ale kto jest bez grzechu, niech pierwszy schyli się po kamień. Człowiek jest istotą ułomną i słabą. Trzeba okazać zrozumienie. Więc na pomnik nadaje się jak najbardziej. Będzie to pomnik prawdziwego suwerena.

Oczywiście monument przedstawiający naszego znakomitego zawodnika stanie obok lokalnego stadionu. Wzorowaliśmy się na pomniku wybitnego trenera Kazimierza Górskiego, który stoi obok Stadionu Narodowego. Trzeba przecież czerpać z najlepszych wzorów.

Z umiejscowieniem kolejnego pomnika mieliśmy spory kłopot. Postanowiliśmy uczcić pamięć niedawno zmarłego biznesmena Janusza Klucznika, najbogatszego obywatela naszego miasteczka, najpierw właściciela baru sushi, a następnie producenta ciepłych wełnianych skarpetek, które w naszym – najzimniejszym – regionie były bardzo przydatne.

Skarpetkowy biznes rozwijał się więc znakomicie, rozszerzył się nawet na kraje ościenne. Niestety, niespodziewana śmierć biznesmena przerwała tę dobrą passę. Janusz Klucznik zmarł na zapalenie płuc, które było wynikiem silnego przeziębienia. Podobno nabawił się go, nie nosząc ciepłych skarpetek. No cóż, jak mówi znane porzekadło: szewc bez butów chodzi. Zmarły przedsiębiorca za życia był hojnym sponsorem wielu miejskich imprez i filantropem. Dlatego też bynajmniej nie zamierzali-

śmy go puszczać w skarpetkach, tylko upamiętnić okazałym monumentem. Po burzliwej dyskusji ustaliliśmy, że stanie on obok dawnego baru sushi, od którego Klucznik rozpoczęła swoją przygodę z biznesem.

Projekt ostatniego, czwartego pomnika wywołał liczne kontrowersje, spory, a nawet protest opozycji, która oczywiście została zignorowana i zakrzyczana przez rządzącą większość, skandującą entuzjastycznie: Naczelnik! Naczelnik! Tak! Nie przeszłeliście się. Czwarty pomnik ma być wybudowany na cześć burmistrza, niekwestionowanego lidera naszej niewielkiej społeczności. Ma stać w samym sercu miasta przy Rynku Głównym.

Alfons Pokorny zaprezentował nam projekt monumentu. Przedstawiał on postać burmistrza nadnaturalnej wielkości (w przeciwieństwie do realnej osoby włodarza naszej miejscowości, który jest niezbyt wysoki, a mówiąc wprost i bez ogródek jest zwykłym kurduplem cierpiącym na manię wielkości, przerost chorobliwej ambicji i rozdęte ego) stojącej w niewielkim rozkroku i obejmującej rękami całe miasto, jakby mówił: „Jak ja was ścisnę, to z mego uścisku już się nigdy nie uwolnicie”.

Po zaprezentowaniu wszystkich projektów odbyło się jawne głosowanie. Pojedyncze głosy sprzeciwu i niezadowolenia radnych opozycyjnych jeden z bliskich współpracowników burmistrza skwitował krótko: – Wyrażanie niezadowolenia jest wilczym prawem opozycji, która tak ma, że wszystkie nasze projekty krytykuje, a sama nie ma żadnego programu. Jak długo można jechać na wiecznej krytyce i negacji? – zapytał retorycznie radny.

A więc słowo ciałem się stało albo, jak kto chce, klamka zapadła w tym domu bez klamek, jak nazywają nasz spokojny, leżący na marginesie cywilizacji prowincjonalny grajdołek niektórzy nienawistnicy i złośliwcy. Wbrew ich opinii w miasteczku staną cztery pomniki zwykłych obywateli (którzy awansowali do miana elity) niczym się specjalnie nie wyróżniających, z ich wadami i zaletami oraz słabościami, bo jak zwykł mawiać nasz burmistrz, każdy jest grzeszny, a przecież najważniejszy jest zwykły człowiek, którego nareszcie trzeba docenić.

Wyróżnienie

Dionizy Purta

(Białystok)

Przyroda – praca – to...!?

Człowiek od początku istnienia kształtował otoczenie, by zachwycało estetyką. Tworzył coś unikatowego, począwszy od najprostszych malowideł naskalnych po wspaniałe malarstwo, muzykę, śpiew, literaturę czy rzeźbę. Estetyczne otoczenie pobudza, zachwycą do działania, sprzyja wyciszeniu, uspokojeniu i lepszej koncentracji. Czuje się szczęśliwszy, spełniony i życzliwszy światu. Widzi jak z bezchmurnego nieba uśmiecha się słońce, a ciepłe promienie przypominają o wiośnie. Piękno wydobywa dobro i kieruje do pozytywnych uczynków, życzliwości i pomocy innym. Czuje się dobrze w wśród ludzi pozytywnie nastawionych do życia i innych ludzi.

Piękno przyrody staje się być ważne dla zdrowia psychicznego, aktywności, dobrych myśli a to nic nie kosztuje. Musimy mieć jakiś własny pogląd na sposób bycia, myślenia na miarę możliwości. Patrzymy na układ wszechświata, widzimy, że nie jest samodzielnym bytem, a częścią układu słonecznego. Ten z kolei częścią galaktyki. A w kosmicznej przestrzeni, istnieją organizmy które giną i odtwarzają się, a cały wszechświat tworzy ład, harmonię i porządek.

W tym wspaniałym świecie musimy orać, musimy siać, chociaż wiatr porywa ziarna i nie wiadomo w którą stronę ponie-

sie i wrzuci w ziemię siew. Musimy pracować w słoneczne dni wiosenne, bo świat staje się jakby większy. Nic nie zasłania i tak jakbyśmy widzieli nieskończoność, a nad całością rozpościera się bezkresny błękit. W procesie pielęgnowania samopoczucia ważna świadomość wartości własnych wad i zalet. Przyszłość zależy od wypracowanej kultury poprzez obcowanie z otaczającą przyrodą, bo to nie tylko doskonały sposób na wyciszeniu, ale pobudzeniu zmysłów i remedium na stres. Zwyczajnie dzień dobry kierowane do sąsiadów, szczery uśmiech, dobra rada i przyjazne słowa do tych, którzy na to czekają, dzielenie się kwiatami lub plonowanie powinno być na porządku dziennym.

Kontakt z roślinnością wpływa korzystnie na samopoczucie, uwalnia od napięcia, zmęczenia i regeneruje siły. A jeszcze większe korzyści przynosi pielęgnacja ogrodu, bo pozwala na zachowanie i poprawę sprawności fizycznej i ruchowej, zapobiega otyłości, chroni przed chorobami. Ma niezwykle wpływ i oddziaływanie na zmysły: wzroku, smaku, zapachu i dotyku. Stąd przywoływana hortiterapia, czyli „ogrodnicza terapia”, wspomagająca tradycyjne leczenie, przypomina znaczenie przyrody w życiu człowieka. Dobroczynne działanie ogrodów było znane już w starożytności. Wracają też wspomnienia z dzieciństwa spędzonego czasu na łonie natury. Bose wędrówki wśród łąk traw, zapach dziko rosnących kwiatów i smaki owoców zerwanych z dziko rosnących drzew i krzewów. Przypomina piękne radosne i beztroskie słoneczne dni ziemia po której chodzimy zachowuje się jako siła gwarantująca istnienie, jako matka rodząca i opiekunka wszelkich bytów.

Przebywanie wśród roślin polepsza zdolność rozwiązywania problemów międzyludzkich, a znajomość uprawy roślin

świadomość pewność i wartości siebie. Uczy dokładności, cierpliwość, poszerza wiedzę o otaczającej przyrodzie. Planowanie pracy sprzyja też dobremu samopoczuciu.

Ogród to panaceum na wszelkie bolączki, bo pozwala przez pracę, zapomnieć choć na chwilę o sprawach życiowych i smutkach, to odskoczenia od dnia codziennego co zapewnia chwilę wytchnienia, a to oznacza, że otrzymujemy lepszą formę, czyli „leczenie ogrodem”. Dla wielu gatunków zwierząt cykliczne – czasowe lub stałe bytowanie, rozwój lub schronienie.

Obecność zwierząt w ogródku to psychologiczna korzyść, bowiem stymulują one zmysły wzroku, słuchu, uwrażliwiają na piękno nie tylko dorosłych, ale równie i najmłodszych ogrodników, którzy stają się miłośnikami przyrody. Jest to zatem doskonała okazja do szeroko pojętej edukacji poprzez obserwację procesów zachodzących w środowisko. To „Oaza Ciszy i Spokoju”, źródło aktywnego wypoczynku, niezastąpione miejsce na czynną i bierną hortiterapię. Ale pod pewnymi warunkami, które dotyczą użytkowników i osób przebywających gościnie w ogrodzie. Wrażenia estetyczne mogą budzić niechciane, złośliwe komentarze. Nie rozbierajmy się aż do bielizny. Niedopuszczalne opalanie się toples i spacer po alejkach w strojach kąpielowych, lub nagim torsem. To nie plaża, ale miejsce wypoczynku dla wszystkich niezależnie od wieku, wyzwania i innych poglądów osobistych. Nie utrudniamy użytkownika ogrodu innym.

Lato to wyczekiwana i ulubiona pora roku, o ile człowiek stęskniony wiosny by cieszyć się z pierwszych kwiatów, o tyle po powrocie z wakacji ma wrażenie, że to już koniec i czekać tylko na zimę. Nie musi tak być. Lato w ogrodzie zachwyca róż-

norodnością fauny. W drugiej połowie a nawet jesienią mogą być w pełnym rozkwicie rośliny – barwne i pachnące. Należy zadbać i rozplanować, a cieszyć będą aż do przymrozków. Pory roku mają znamiona życia i piękna oraz wyglądy znamienne dla danego czasu.

„Działkowanie” łączy pokolenia, buduje relacje rodzinne i społeczne, tworzy dobre stosunki sąsiedzkie. Niesamowicie staje się, że przestrzeń około 300 metrów kwadratowych to tak niewiele, a zarazem tak wiele dla nas. Na małym skrawku ziemi czujemy się zrelaksowani, pogodniejsi, zdrowsi, czyli odstresowani. Kontakt z roślinami daje pozytywne odczucia. Opieka nad nimi – to dla psychiki bezcenne i żadne leki nie zastąpią. Ruch wpływa na pracę mózgu, wzmacnia myślenie i podnosi nastrój, a doznania wzroku – to bodźce pobudzające układ nerwowy. Samoocena ogrodników też jest ważna dla psychiki – gdy potrafią coś zrobić, to znaczy, że jestem do czegoś potrzebny: udało się, więc jest dobrze.

Cała przestrzeń ogrodowa jest przyjazna, bo czujemy się, że jesteśmy u siebie i czujemy się swobodnie. Jest to antidotum na stres, ale też może dostarczać własnych, zdrowych i tanich płodów. Jest miejscem, które zmienia się wraz z porami roku. Dzięki temu nie jest monotonne, jest przestrzenią na której zmysły mogą być pobudzone. Stymulowanie zmysłów przyczynia się do prawidłowego działania organizmu. Patrząc na rośliny, dostrzegamy kształty, kolory a nawet te walory jakie niesie natura i na ten dobroczynny wpływ przyrody. Możliwość życia. W myśl piosenki Janusza Kofty „Pamiętajcie o ogrodach, przecież stamtąd wyszliśmy”.

Pobyty w ogrodzie usprawnia funkcję narządów i zwiększa siły mięśniowe, przyspiesza metabolizm, wpływając na przemianę materii wpływa na redukcję lęku i zmniejszenie objawów depresyjnych, poprawiając nastrój i jakość snu. Praca pobudza do pracy mięśnie, zwiększa ruchowość w stawach i poprawia ogólną sprawność, a to nie wymaga dodatkowych przyrządów, poprawia ukrwieniu układu motorycznego, aby spowodować jego rozruszanie.

Ogród koczary się z poziomą przestrzenią, a miejsca na roślinność jest niewiele. Coraz większą popularność zyskują ogrody pionowe, czyli tzw. „Zielone ściany”. Takie rozwiązanie posiada wiele zalet. Rośliny produkują duże ilości tlenu tłumią hałas i zwilgotniają powietrze, magazynują wodę deszczową. Ogród wertykalny zastosowany w odpowiedniej formie i miejscu doda świeżego wyglądu i nowatorskiego charakteru. Jest ratunkiem na brak miejsca, którego przy intensywnym użytkowaniu nie ma zbyt wiele. Kompozycje takie oprócz estetycznej, pełnią funkcję użytkową, do sadzenia ziół, warzyw i owoców.

Ogród to miejsce w którym możemy stworzyć nadmorski klimat i nie musimy jechać do uzdrowiska, by wspomóc leczenie chorób dróg oddechowych, układu krążenia, oraz poprawić stan, nerwów. Przy dobrych chęciach możemy budować mini tężnie gdzie wytwarza się nadmorski klimat. Tężnia solankowa to rodzaj inhalatora, który jest zbudowany z konstrukcji drewnianej wyplecione drobnymi gałązkami i pod wpływem słońca i wiatru, intensywnie paruje. Naturalna mgiełka solankowa unosi się w powietrzu w okolicy tężni w postaci aerozolu, tworząc specyficzny mikroklimat dostarczając unikalnych walorów zdrowotnych. Mini tężnię można wkomponować w aranżacji

ogrodu, lub korzystać z niej również w przeznaczonym do tego pomieszczeniu. Inhalację aerozolem z solanki ułatwiają uzyskaniu równowagi organizmu. Nazwa „haloterapia” pochodzi od greckiego słowa „hałas” która oznacza sól. Z uwagi na obecność soli w powietrzu, w deszczu tężni jest bakteriologicznie czyste powietrze. Szczególnie cenne jest dla dzieci lub seniorów.

Bardzo ważnym miejscem w ogrodzie jest też taras gdzie ogniskuje się życie. Warto więc urządzić go tak, by faktycznie sprzyjał wypoczynkowi. Przy trasie mogą rosnąć rośliny ozdobne i użytkowe, dzięki czemu świeża mięta, bazylia i pomidory są na wyciągnięcie ręki. Czyli całość utrzymuje się w romantycznym stylu. Bogactwo tkanin pozwoli wyczarować wspaniałe aranżacje w duchu skandynawskiego minimalizmu lub orientalnego przepychu. Efektywne odstraszanie komarów i tiulowe zasłony tworzące moskitierę, lampiony, latarki i girlandy dadzą niepowtarzalny nastrój.

Staje się być modne też w ostatnim czasie tzw. „Zero Waste”, co oznacza po angielsku „Brak marnowania”. A sama idea wywodzi się z coraz bardziej uświadomionej potrzeby dbania o środowisko. Zero Waste to styl życia polegający na organizowaniu wytwarzania i redukcji różnego rodzaju odpadów. Aby zrozumieć problem marnowania, należy spojrzeć jak funkcjonuje społeczeństwo skupione na produkcji i nabywaniu użytkowych dóbr, które realizuje konsumpcyjny styl życia. Stoimy u progu katastrofy i od nas zależy jaką udzielimy odpowiedź na pytanie: „Mieć czy Być”. Dbajmy o środowisko przyrodnicze, korzystając z mocy natury i „odnawiajmy życie w kompoście”. W kompostowniku realizuje się jedna z idei Zero Waste, a uzyskany w ten sposób kompost jest znakomitym nawozem

możliwym do zastosowania niemal w każdej uprawie. Selektywna zbiórka odpadów to przykład świadomego korzystania z ogrodu. Ogród to nie śmietnik – Uprawa własnego ogródka bardzo dobrze wpisuje się w ideę Zero Waste. Prowadząc ogród w sposób zrównoważony można zapewnić lepszą jakość życia. Kompostowanie to znakomita metoda na wtórne zagospodarowanie materii organicznej, pełnego wykorzystania potencjału odpadów pochodzenia roślinnego oraz naturalnego obiegu materii. Kompost przywraca glebie utracone składniki oraz ożywia mikrobiologicznie, poprawia żyzność i odnawia cykl życia. Celuloza zawarta w tekturze jest dobrą pożywką dla bytujących w kompoście drobnoustrojów.

Nie powinniśmy zapominać o dzieciach i pozwolić im uprawiać to co im smakuje. Dzieci lubią podpatrywać co robią dorośli. Co zrobić by radość była większa? Pozwolić oczywiście na eksperymenty własne. Wygospodarujemy choćby niewielką przestrzeń w dobrze nasłonecznionym miejscu specjalnie dla nich. Warto pokazać jak zajmować się warzywnikiem, lecz nie ingerować zbyt dużo. To ich pole doświadczalne, z pewnością docenią możliwość autonomicznego gospodarowania. Zachęcić, by łączyć pozytywne z dekoracyjnym, np. barwne zioła, jadalne kwiaty i rośliny typowo użytkowe. Atrakcyjność wizualna jest przecież bardzo istotna. Własne uprawy też sposób dla niejadców. Nawet największy malkontent chętnie spróbuje własny szczypiorek do kanapki z twarożkiem, zioła, pomidor-ki koktajlowe, marchewkę, rzodkiewkę, truskawki, poziomki, borówki, maliny, nasturcje, nagietki. W miarę postępów i zdobywania doświadczenia mogą próbować swoich sił przy trudniejszych uprawach. Tyczki tworzące wigwam, to jednocześnie

podpora pod fasolę, groszek, oraz świetna kryjówka. Każdy indianin będzie miał na wyciągnięcie ręki słodkie groszkowe strączki. Będzie pomysłowo, kolorowo i bardzo smacznie. Smakowity kącik wygradzają krzewy porzeczki, agrestu i wysokiej borówki.

Rodzinne ogrody to miejsce w którym działkowcy dbają o środowisko, wprowadzając innowacyjne formy uprawy roślin mające uzyskanie upraw, takich jak warzywa i owoce. Występujące różnorodność barw, kształtów, dobrze wpasowują się gabarytami w środowisko owijające się pędami wokół podpór.

Rośliny posiadają kilka czynników, które wpływają pozytywnie na organizm a są to – zapachy, barwy, które wpływają na pamięć, dobre relacje z ludźmi, ożywiają i działają rozweselająco, obniżają ciśnienie krwi i rytm serca. Dotyk ma też pomocnicze właściwości do inspirowania pamięci, pobudzenie systemu nerwowego, poprawiając krążenie krwi w organizmie. Dotykanie gleby dostarcza radości, gdyż przyczynia się do pobudzenia produkcji w komórkach mózgowych serotoniny – hormonu szczęścia. Szum traw, drzew, świergot ptaków uspokaja i działa relaksująco. Cieszymy się, kiedy wczesnym rankiem usłyszymy pierwsze trele ptaków zwiastunów budzącej się przyrody. A letni ciepły wiaterek obejmuje przy pomocy słońca naszą twarz, wywołuje to radość, pobudzenie i nadzieję na lepsze jutro.

Wszystko co dzieje się wiosną odbywa się w rytmie określonej kolejności, którą możemy nazwać biologicznym zegarem przyrody. Napęd dają promienie słoneczne i ciepło docierające do roślin i zwierząt. Obserwowanie przyrody może stać się źródłem wielu cennych informacji dotyczących zmian zachodzących oraz powiązań w tym samym okresie, pomiędzy organizmami.

W przyrodzie panuje harmonia, a kolejność rozwoju jest niezmienna i zgodna z biologicznym zegarem.

W ogrodach permakulturowych mile widziane są dzikie rośliny, roznoszone przez ptaki i wiatr. rośliny te – chronią przed chorobami i szkodnikami, dają pożytek pszczołom i innym zapylowcom, wabią motyli, karmią ptaki, dzięki którym nie trzeba zwalczać uciążliwych owadów. A stare odmiany roślin uprawnych są odporne na szkodniki i choroby, które wydają zdrowe plony i nasiona na kolejne wysiewy, bez wspomagania środkami chemicznymi.

Permakultura – „Permanent agriculture” co oznacza stałą uprawę. Jest to sposób projektowania i prowadzenia ogrodu w szerszym rozumieniu – całego środowiska – które pozwala na zaspokojenie potrzeb życiowych człowieka przy zachowaniu jak największej bioróżnorodności, w zgodzie z naturą. Umożliwia życie w czystym, pięknym, bliskim natury środowisku, pozwala na dzielenie się wytworzonymi dobrami z innymi. Jest to sposób odmienny na życie od konsumpcyjnego od rolnictwa wielozeregowego, monokulturowego, bazującego na stosowaniu ogromnych ilości środków chemicznych, które doprowadziło do zniszczenia, wyjałowienia i zatrucia gleby, zaburzyło równowagę w przyrodzie. Ogród to miejsce pozyskiwania własnych produktów żywnościowych, ma również wymiar proekologiczny i chroni środowisko.

Każdy na swój sposób pracuje nad realizacją marzeń. Jedni mają zdolności artystyczne i wytwarzają produkty i ozdoby artystycznie piękne. Drudzy zajmują się hodowlą zwierząt inni produkcją żywności i przetwórstwem. Każdy ma jakby swoje miejsce na ziemi, a przede wszystkim, gdy spełniają się marzenia.

Marzenia się spełniają, gdy ma się trochę pomysłów i chęć do ich realizacji, czyli do pracy.

„Świat wokół nas zmienia się w zawrotnym tempie. Trudno powiedzieć, co przyniesie dzień jutrzejszy. Wczoraj do ciebie nie należy. Jutro niepewne.. Tylko dziś jest twoje. Tak więc dziś nie później, nie kiedyś, tylko właśnie dziś zadbajmy o siebie”. JPII.

Ludzie się sprzeczą, gdzie jest najpiękniejsze miejsce, gdzie graniczą ze sobą najpiękniejsze regiony? Każdy ma swoje przepiękne lasy a w nich najśodsze jagody i najsmaczniejsze grzyby. Gdzie kręte płyną rzeczki a pełno w nich ryb. Rosujące zboża o zachodzie słońca najcudowniej pachną, a chabry i maki na miedzach mają najintensywniejsze kolory. Słowiki najładniej śpiewają, łopiany najwyższe rosną, a wrony najgłośniej kraczą, jaskółki budują zaś najciekawsze gniazda i rosną najpiękniejsze kasztany. Ptaki w lasach porozumiewają się najpiękniejszą mową, a mech zieleni się i daje poczucie miękkiego dywanu. Ludzie w kościele doznają pokrzepienia serc. W rzeźbionej kazalnicy kaznodzieja głosi zasady życia a po nabożeństwie niektórzy odwiedzają karczmę.

W niektórych miejscowościach zamieszkują społeczności zróżnicowane narodowościowo, wyznaniowo przejawiające się w tradycyjnych wartościach, które są przejawem silnej tożsamości kulturowej. Jest to związek z miejscem zamieszkania – czyli domem. Dom to punkt orientacyjny w świecie, ostoja i traktowany z wielkim szacunkiem. Dekorowano je przepięknymi detalami zdobniczymi z czym związana jest kultura duchowa i materialna, a nawet przestrzenne układy miejscowości, czyli zawarte zespoły na obszarach wsi i gmin. Społeczności są żyte z sobą i nie tylko. Przybysz który trafi do tej miejscowości

u gospodarza czekał posiłek, posiłek na jaki było stać gospodarza. Ten piękny zwyczaj związany z domem, to tzw. „Polska Gościnność” czyli: „Gość w dom, Bóg w dom”. Pachnie tu zawsze świeżym chlebem, smalcem, kiszonkami a ławy i krzesła wygodne, a czasami „kozą” podgrzewa pomieszczenia. W ogrodzie rosną kwiaty, warzywa, a na jesieni przetwarzane kiszonki i mi brakuje też wędlin. Każda gospodyni ma swój własny pomysł: czyli!?

Każda epoka ma swoje prawa i wypowiedzi do wyobrażeń. Zastanawiamy się, czy żyjemy tu i teraz? A pobyt na planecie Ziemi jest jednym domem, że też może tylko to dom przejściowy, a my jesteśmy częścią czegoś większego. Zadajemy pytania, szukamy odpowiedzi, ale czy znajdujemy, nie wiemy. „wiara w układ wszechświata pozwala pojąć, że istnieje coś Niepojętego”. Św. Anzelm.

Jadąc przez życie człowiek marzy żyć autentycznie, mieć przyjemność, czerpać satysfakcję z życia, bo to droga ku czemuś i każda faza niezbędna by miało sens. Sięga do praw natury, szuka sposobu by odnaleźć to „coś” co dałoby ukanie. Ale nie zawsze rozumem może ocenić skuteczność. Patrzy w zakamarki duszy, gdzieś tam do najgłębszych pokładów. Siłą ludzkiego rozumu można dojść do prawdy o istnieniu Absolutu, który jest bytem doskonałym pośród bytów przygodnych. „Każde zioło podarowane człowiekowi to zamknięta księga mądrości – Trzeba ją tylko otworzyć, przestudiować, i tę mądrość w życiu zastosować” Ks. Jan Twardowski.

Dawniej opuszczając ojczyznę brał do woreczka ziemię, by mieć łączność z miejscem przyjscia na świat i ojczyznę. Dla wielu szumi obcy wiatr, bo tułaczy los gna gdzieś po świecie,

ale wszelkie drogi prowadziły i prowadzą do rodzinnych bram,
a serce tęskni za mamą – bo tam jest najpiękniej. Tam kwitną
kwiaty – stokrotki, fiołki, kaczeńce i maki. Pod polskim niebem
rosną. Marzeniem staje się, by z zielonych łąk przynieść rozkwitłe
pąki do matczynych rąk. Tam gdzie nie ma piękna zaczyna
brakować miłości – reszta niech będzie milczeniem.

Czasu nie cofnie nikt.

Życie bierz jakie jest.

Choć będzie siebie nam brak.

Nie zmienisz teraz nic.

Bo to niezwykle sen.

Jak mgła rozplynie się.

Wyróżnienie

Bogusława Wierzbicka

(Białystok)

I srebro i złoto

Srebrna głowa

Złote myśli

Złoty łan

Srebra dzban

Jeden złoty

Pół bułki

Słaby złoty

Ćwierkały jaskółki

Trzydzieści srebrników

Zaważyły wiele

Od dwóch tysięcy lat

Słychać o tym w kościele

Złoty czy srebrny

Kolory jak inne

Wolę biały, różowy

Przynajmniej czyste, niewinne

Wyróżnienie

Jadwiga Zgliszewska

(Białystok)

Inny, ale ten sam

Z zewnątrz wszystko wyglądało po staremu. Ten sam dom, pochylony płot ze śladami resztek farby oraz zwichrzone czupryny bżów, leszczyn i wiśni, wychylające się ciekawsko na drogę. No i ta ich wielka miłość – ponad stuletni kasztanowiec, rosnący w sercu podwórka. Wtedy nie zauważyła jeszcze braku charakterystycznych firaneczek w oknach oraz tego, co zawsze skrywał przydomowy ogródek w sierpniu.

Od ponad roku wiedziała, że znajdą tu duże przeobrażenia. Brat, obecny właściciel, przeprowadził zimą kapitalny remont, obejmujący przebudowę ścian, sufitów, posadzek i wszystkich instalacji, wraz ze zmianą rozkładu pomieszczeń i adaptacją dobudowanej części domu. Także i likwidację całego dotychczasowego wyposażenia. Zastanawiała się, czy pozna to, co tutaj dziś zastanie? Ten rok oczekiwania nie pozwalał zapomnieć o spodziewanych zmianach. Zimą miała już okazję oglądać zdjęcia z wyburzania drogich murów. Oto strasząca widokiem czeluść w posadzce głównego pokoju. Na następnym ujęciu zburzona ściana pomiędzy kuchnią a sypialką i ogrom wertepów na strychu. Ruiny i zwaliska. To wówczas pojawił się dojmujący, wręcz fizycznie odczuwalny ból. I to wtedy również rozplakała się. Ten jeden jedyny raz. Przesłany później filmik ze stanem budynku

po remoncie nie wzbudził już żadnych emocji. Oglądała go, nie dostrzegając nic a nic z dawnego domu. Dla niej były to jakieś obce, anonimowe pomieszczenia, nie wywołujące ekscytacji. Zrozumiała, że zamknął się bezpowrotnie ważny etap w jej w życiu. Bez wątpienia jeden z ostatnich.

Wanda zawsze przyjeżdżała tutaj na lato. Początkowo trochę z przymusu, wiedząc jak bardzo jej obecności potrzebuje matka. Jeszcze w młodości potrafiła się czasem wyrwać na wypady z paczką przyjaciół. Od przedwczesnej śmierci ojca czuła presję, by towarzyszyć rodzicielce. Później już chętnie spędzała tutaj urlopy, uznając to ciche miejsce za raj dla odpoczynku po rocznej pracy. Kiedy trzydzieści lat po ojcu odeszła również matka, przyjeżdżała tu nadal, już jako emerytka. Przez pamięć dla zmarłych rodziców miejsce stało się jeszcze jakby droższe. Ostatnio przybywały tutaj we dwie, z siostrą Weroniką, równolatką. Pojawiały się w rodzinnym domu jako pierwsze i wspólnie go ogarniały, szykując letnie gniazdko dla innych członków rodziny. Zwłaszcza na przyjazd brata z zagranicy, który formalnie był właścicielem posesji i domu. Wyjątkowo w tym roku to właśnie on zjechał najwcześniej. Wykonywał prace związane z ostatecznym urządzeniem i wyposażeniem pomieszczeń. Razem z rodziną oczekiwali na pojawienie się siostr.

Jak miło móc tylko wysiąść z auta i od razu mieć wakację! To oni, obecni gospodarze, dwoili się i troili, aby godnie witac w progach najstarsze siostry. Te szybko zostały oprowadzone po labiryncie nowych miejsc. Kobietom kręciło się w głowach. Brat musiał je nakierowywać w snuciu domysłów, jakie to poprzednie lokum właśnie lustrują. Bo nie poznawały, gdzie się znajdują! Obesły prędko prezentowane wnętrza. Wszystko było

nowe i nowoczesne. Wystrój stonowany, chłodny, z przewagą szarości. Dom wyposażony w najnowsze urządzenia ułatwiające pracę, z minimum ozdób. Na ich przyjęcie naszykowali największy pokój gościnny. Miał służyć kobietom za sypialnię, ale w rzeczywistości był to przytulny salonik. Dwa nowe łóżka, fotele z kanapą, stolik z nocną lampką i telewizorem, krzesła, szafa ubraniowa, a nawet ręczniki. Wszystko czyste, pachnące świeżością. W oknie rolety. Ucieszyła się nawet, bo jego usytuowanie dawało się we znaki w upalne dni. Jednocześnie był to lufcik od ulicy, więc łudziła się, że wyjrzy nim na świat. Po krótkiej prezentacji, kiedy jeszcze trudno było ogarnąć myślą całość, zostały poproszone na obiad. I znów ta inność! Nigdy wcześniej nie były tutaj obsługiwane. Same szarogęsiły się od początku każdego pobytu. Wdzięczne były jednak za tę gościnność. Bo to już i wiek niemłody, i sprawność nie tamta... Pod wieczór zapoznały się jeszcze z innymi niuansami i po tylu wrażeniach zapadły w kamiennym snem, jaki zawsze towarzyszył im na wsi. Na refleksje przyjdzie jeszcze czas. Mają przecież zamiar zatrzymać się na dłużej w rodzinnym gnieździe.

Rano po przebudzeniu Wanda odruchowo podeszła, by odsłonić rolety i doznała szoku. W przydomowym ogródku dojrzała jedynie... pustkę! Przez głowę nie przeszłaby jej myśl, że oczom nie ukaże się widok rozlanych żółtym potokiem, odwiecznych tu rudbekii i dojrzewających nawłoci. Gdzie, na miły Bóg, podziały się ich żółte kwiatki? Ten brak to niewątpliwa luka całego pobytu. Na szczęście okazało się, że to nie brat „zglutniał”, tylko źle zrozumiał instrukcję ten, kto wykaszał wysoką trawę i chwasty na całej posesji. Uff, cóż za ulga! Kwiaty przecież odrodzą się na wiosnę. Tylko nie będą już cieszyć oczu tego lata.

Nastał dzień następnych odkryć, a przede wszystkim – spokojnej analizy, co gdzie wcześniej było i do czego służyło. Tej podróży sentymentalnej nie sposób było sobie odmówić. Rolety i moskitiery, owszem, to sama wygoda. Zwłaszcza, gdy użytkuje się pomieszczenia jedynie okresowo, latem. Modnie i wygodnie. Ale serce Wandy nie potrafiło jednoznacznie zachwycić się nowym rozwiązaniem. A gdzie firanki mamy?! Zawsze były jej chlubą. W pokojach od ulicy – nieskazitelnie białe i w duże, wyraziste wzory. Miały zdobić i świadczyć o właścicielach. W każdym pokoju inne, z barwnymi zasłonami włącznie. Jednak najbardziej rozczulały te kuchenne, obecne w wielu wersjach. Górne poprzeczki miały nawet nadruki, bożonarodzeniowe czy wiosenne, wielkanocne. Wandę zawsze będą wzruszać te, które sama kupowała matce na Allegro. Z tkaniny w różowe wzorki, obficie marszczone, obszyte falbanką z koronkową obwódką. Takie fikuśne drobiazgi w połączeniu z kwiatkami w glinianych doniczkach sprawiały, że całość prezentowała się niczym lukrowany „rysunek na szkle”. I jest to pierwszy obrazek, który zapisze na trwałe w sztambuchu swojego serca. Bo w oknach nigdy już nie ujrzy owych cudeniak.

Gładkie i białe ściany w niczym nie przypominały tamtych, z kolorowymi tapetami w rozmaite desenie i wzory. W żadnym z odwiedzanych kątów nie odnajdowała tamtego klimatu. Lecz doskonale go pamiętała! Oto dzisiejszy salonik – prosty, funkcjonalny, gustowny. I... martwy. Tu była dawna kuchnia, gdzie koncentrowało się życie całej rodziny. Z główną postacią tego miejsca, matką. To było jej królestwo, w którym gotowała, sprzątała, prała, cerowała, nie trwoniąc ani chwili. Wanda zapamięta ją, jak nieustannie ociera pot z czoła... Tutaj jedli posiłki, odra-

biali lekcje przy jednym stole. Nawet kolację wigilijną spożywali w tej kuchni. Była też miejscem do palenia w piecach, mycia się, do zbiorowej modlitwy, a nawet spania. Tutaj odbywały się towarzyskie spotkania. Zawsze było pełno ludzi – tak domowników, jak i licznie odwiedzających. Schodzili się do nich z całej wsi, jakby dom stanowił jakieś swoiste centrum dowodzenia. Bo lubili tutaj przybywać. Do matki schodziły się kumoszki, do ojca szli po poradę i dobre słowo, do dzieciarni w wielodzietnej rodzinie podążały gromadki rówieśników na wspólną zabawę. Lawina wzruszeń!

A dawna maleńka sypialnia nazywana wałkierzem? Dziś pusta niemalże, tylko szafa-słupek i szeroki materac na podłodze. Ot, jeszcze jedno lokum w powiększonym domu. Póki co – doraźna sypialnia dla gości. W pewnym okresie stały tutaj kiedyś aż trzy łóżka i łóżeczko dziecięce, służące do snu rodzicom oraz jej czterem młodszym braciom. Wieczorami urządzali tutaj swoje dziecięce harce, aby dorośli mogli w tym czasie porozmawiać w kuchni o poważniejszych sprawach. Ale długo potem, kiedy wszystkie latorośle opuściły rodzinne gniazdo, Wanda regularnie przyjeżdżała w odwiedziny i sypiała tutaj również. Z owdowiałą od dawna i schorowaną matką, której pomagała w obsłudze. A kiedy ta poruszała się już na wózku inwalidzkim, wówczas się nią zajmowała. I taką zapamięta na zawsze. Jak i jej sypialenkę, której ściany były obwieszone symbolami religijnymi i dewocjonaliami. Nad łóżkiem znajdował się od zawsze obraz świętego Antoniego z Dzieciątkiem na rękach. Mocno wyblakły, bo kupiony na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, jakoś zaraz po przeprowadzce do nowego wtedy domu. Pod nim dużo późniejszy, niewielki krucyfiks

z fluorescencyjnego tworzywa, pamiątka przywieziona z pielgrzymki do Lichenia. Babcia z uciechą prezentowała go wnukom, gasząc światło i budząc tym ich zachwyty dla świecącego w ciemnościach krzyżyka. Obrazów było dużo więcej. Uwagę zwracał jeszcze bardzo stary, w ramce z tłuczonego szkła, znany wizerunek Anioła Stróża pilnującego dzieci na kładce. Ten sam, który mała Wandzia jako sześciolatka niosła w swoich rączkach podczas przeprowadzki do tego domu od dziadków, gdzie mieszkali wcześniej. I jeszcze jeden duży w drewnianych, poczerńiałych ramach, z pofalowanym papierem fotograficznym wewnątrz, przedstawiający wizerunek świętej Bernadetty z grotu w Lourdes. Obraz, przed którym klęczała matka podczas modlitw w czasie swojej pierwszej ciąży. Wzruszenie trudne do opanowania...

Pokój, który zajęły na ten pobyt, jest też i w jakimś sensie im najbliższy. Los zatoczył tu koło czasu. Pokój został wstępnie wykończony na chrzciny najmłodszego brata, obecnego gospodarza. Wanda i Weronika miały wtedy prawie po czternaście lat i dużo pomagały w przygotowaniach. Rok później postawiono tu kaflowy piec, aby świeżo upieczone licealistki mogły nareszcie odizolować się od reszty domowników i zgłębiać nauki, bo ogólniak to już nie przelewki. Ich pierwsze randki odbywały się również w tym pokoju. Pamięta on najbardziej podniosłe wydarzenia rodzinne: spotkania pierwszokomunijne braci, wesela siostry i brata, duże przyjęcie z okazji srebrnych godów rodziców, a wreszcie chrzciny najstarszej wnuczki. No i te najsmutniejsze ze smutnych – ostatnie pożegnania... Tutaj odbywały się czuwania modlitewne i śpiewy nad zmarłymi rodzicami. W 1983 roku leżał w trumnie zaledwie pięćdziesięcioletni ojciec. Mat-

ka wśród łez opowiadała przybyłym sąsiadom, że podziwiany nowy regał kupił on sam zaledwie trzy miesiące wcześniej, po całonocnym staniu w kolejce pod meblowym. Miał szczęście, bo akurat „rzucili” godny pozazdroszczenia zestaw, ciemny segment na wysoki połysk. Regał pod nazwą „Puszcza”, wypełniony kryształami i bibelotami, jeszcze w ubiegłym roku tutaj był. Tak samo błyszczący, tylko rozchybotany. Był też tu pewien gobelin nad łóżkiem. Przedstawiał Papieża Jana Pawła II na tle Bazyliki w Watykanie, postać o wielkości zbliżonej do naturalnej. Jak się niedawno okazało, postaci z gobelinu lękały się i wnuczęta, i najstarszy prawnuk, który niejednokrotnie tutaj nocował. Dywanik został przeznaczony do wyrzucenia, lecz w ostatniej chwili zapragnął wziąć go na pamiątkę (swoich strachów?) ten sam prawnuk, dziś już licealista.

Niestety, żadnego śladu po kaflowych piecach. A przecież nie tylko ogrzewały one zmarzniętych, ale były też symbolem serdecznego ogniska domowego, gromadzącego rodzinę. To wielki żal! Wanda nigdy nie zapomni firaneczki przy kuchennym okapie, wnęczki przy zapiecku, drzwiczek odnawianych srebrem przed Wielkanocą oraz kaflowego ogrzewacza, do którego tuliło się policzek, kiedy któremuś z dzieci bolał ząb. Tak samo jak i wystruganej przez ojca półeczki w rogu pomiędzy ścianami – godnego miejsca na gipsową figurkę Matki Boskiej oraz komplet z krzyżykiem i lichtarzykami, który używano podczas wizyt księdza po kolędzie. Stały tam również sztuczne kwiatki i coraz to nowa serwetka, ozdabiająca półeczkę. Tego religijnego kącika też już nie ma...

Ale jest to miejsce i ten dom, gdzie kiedyś tętniło życie. Choć inny dziś, to przecież ten sam! To samo podwórko, te same sto-

krotki wczesną wiosną, a śnieguliczki i kasztany jesienią. Tamto zachowa na zawsze we wdzięcznej pamięci. Lecz wie na pewno, że do tego nowego także zechce przyjeżdżać. Bo tylko tutaj wciąż są widoczne owoce pracy rodziców, a pamięć ich śladów obecna w każdym zakątku. Dla tej pamięci pragnie tutaj powracać.

SKŁAD KAPITUŁY KONKURSOWEJ

Dorota Sokołowska

przewodnicząca Kapituły Konkursowej, dziennikarka
Polskiego Radia Białystok.

Małgorzata Dobkowska

bibliotekarka w Czytelni Książnicy Podlaskiej
im. Ł. Górnickiego w Białymstoku, współpracująca przy
wydawnictwie Epea, poetka.

Bożena Bednarek

reprezentująca organizatora konkursu Stowarzyszenie
Szukamy Polski i Podlaską Redakcję Seniora, redaktor naczelna
portalu podlaskisenior.pl, koordynatorka konkursu.

Jolanta Falkowska

reprezentująca Podlaską Redakcję Seniora i Stowarzyszenie
Podlascy Seniorzy, sekretarz konkursu.

Spis treści

Utwory nagrodzone	
w dziedzinie poezji	5
Elżbieta Kasperk (I miejsce)	
<i>Las</i>	7
Marek Górynowicz (II miejsce)	
<i>w ciszy wspomnień</i>	9
Jolanta Maria Dzienis (III miejsce)	
<i>znaczenie słów</i>	11
Trzy równorzędne wyróżnienia	13
Tadeusz Charmuszko (Wyróżnienie)	
<i>Ślady</i>	15
Regina Świtoń (Wyróżnienie)	
<i>Babcia Stefania</i>	17
Kamil Dąbrowski (Wyróżnienie)	
<i>Myszy</i>	19
Utwory nagrodzone	
w dziedzinie prozy	21
Krzysztof Broda (I miejsce)	

<i>Mówcie do mnie Mamo</i>	23
Jolanta Maria Dzienis (II miejsce)	
<i>Dziecięcy świat między kościołami</i>	29
Wojciech Więckowski (III miejsce)	
<i>Paciorki różańca</i>	39
Tadeusz Maksimowicz (Wyróżnienie)	
<i>Dobry człowiek</i>	47
Nagroda specjalna Marszałka Województwa Podlaskiego	55
Irena Słomińska	
<i>Ja</i>	57
<i>Pajacyk</i>	59
Nagroda specjalna Książnicy Podlaskiej	61
Irena Świerżyńska	
<i>Z poezją...</i>	63
<i>W drodze za chlebem</i>	64
Nagroda specjalna Polskiego Radia Białystok	67
Janina Jakoniuk	
<i>Pamiętam</i>	69
Utwory wyróżnione przez Podlaską Redakcję Seniora	75
Halinka Bohuta-Stapel (Wyróżnienie)	
<i>Limeryszcze podlaskie</i>	77
Krystyna Gudel (Wyróżnienie)	
<i>Koprowe poranki</i>	81
***	82

Zyta Gieleżyńska (Wyróżnienie)	
<i>Ukoronowany wirus nam nastał</i>	83
Małgorzata Kąkolewska (Wyróżnienie)	
<i>Ostatni walc...</i>	89
Anna Kropiewnicka (Wyróżnienie)	
<i>Samotność</i>	91
Wiesław Lickiewicz (Wyróżnienie)	
<i>Westchnienie</i>	93
Zbigniew Nowicki (Wyróżnienie)	
<i>A rebours, czyli silna potrzeba upamiętnienia</i>	95
Dionizy Purta (Wyróżnienie)	
<i>Przyroda – praca – to...!?</i>	103
Bogusława Wierzbicka (Wyróżnienie)	
<i>I srebro i złoto</i>	115
Jadwiga Zgliszewska (Wyróżnienie)	
<i>Inny, ale ten sam</i>	117

Jak miło oddać w Państwa ręce kolejny już tom *Srebro nie złoto*. Dziękujemy wszystkim uczestnikom VII edycji konkursu literackiego za przesłane wiersze i prozę, które składają się na kolejną, ciekawą lekturę. Kapituła, jak zawsze, zwracała uwagę na oryginalność i jakość utworów.

W 2021 roku zaproponowaliśmy dwie kategorie. POEZJA – kategoria otwarta, o dowolnej tematyce wierszy. Druga to PROZA, otwarta dla osób powyżej 18 roku życia, do której zgłaszane były małe formy prozatorskie z wiodącym tematem: „Pamiętajmy – opowieści o ludziach i miejscach”.

Są tu liryczne wypowiedzi o naturze, ludzkich uczuciach, jest też dużo codzienności, opisaney z wdziękiem i skłaniającej do refleksji nad sensem życia. Nie brakuje też problemów społecznych, rodzinnych, a także lęku o zdrowie i rozważań o śmierci.

Organizatorami konkursu są Stowarzyszenie Szukamy Polski, Podlaska Redakcja Seniora. Współorganizatorzy to: Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, Polskie Radio Białystok.

Tomik w wersji elektronicznej oraz informacje o wszystkich edycjach konkursu *Srebro nie złoto* są dostępne na portalu: podlaskisenior.pl w dziale „twórczość”. Życzymy miłej lektury i przypominamy motto VII edycji konkursu:

Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie,
Dwie tylko: poezja i dobroć... i nic więcej.

(Cyprian Kamil Norwid – Do Bronisława Z.)

Bożena Bednarek
redaktor naczelna
portalu podlaskisenior.pl